NOWOŚCI ILUSTROWANE

Nr. 44. — Rok XXI. Kraków, 1 listopada 1924. Cena egz. 75 gr.

Pogrzeb Henryka Sienkiewicza w Warszawie



Z wielkim przepychem i majestatem oddała stolica hołd zwłokom wielkiego mistrza słowa. Zdjęcia przedstawiają kilka momentów z pogrzebu. 1) Trumna ze zwłokami na katafalku przed dworcem. 2) Główny dworzec udekorowany na przyjęcie zwłok Sienkiewicza. 3) Krypta Sienkiewicza w Katedrze Św. Jana w Warszawie, projektu arch. Konstantego Jahimowicza. 4) Pogrzeb. Karawan ze zwłokami wielkiego pisarza. 5) Kardynałowie i Arcybiskupi w pogrzebowym kondukcie.

Z bliska i z daleka



Rozwiązanie niemieckiego parlamentu. 1) W sekretarjacie załatwia się pospiesznie ostatnią korespondencję. 2) Ostatnia kolacja, którą jedzą posłowie w bufecie sejmowym przed rozjechaniem się do domu. J. Graudenz.



Ci, którzy rozwiązali niemiecki parlament. Prezydent Rzeszy Ebert. J. Graudenz.

Rapsodowi wieków cześć!

Nie jęk, nie szloch, nie zawodzenie opłakujących wyrywa się dziś z piersi wielu miljonów Polaków. W niczyich oczach nie szklą się łzy, chyba te promienne, iskrzące łzy radosnego wzruszenia.

Trumna, choć czarna, w słonecznej błyszczy nam aureoli. Karawan, choć w kirach i smutku emblematach, ale złotym, ukwieconym rydwanem tryumfu nam zda się.

Nie zwieszajcie głów wspaniałe, żałobne rumaki. Stąpajcie lekko, tanecznym krokiem, jakbyście na Dzikie Pola biegły na karkołomną, petyhorską wyprawę. Załomotajcie dziarsko kopytami po brukach ulic — i niech wasz zgiełk nam szarże chorągwi pancernych przypomni. Niech rżenie wasze wesoło i szeroko poprzez stolicę popłynie.

Dzwony, pogrzebne dzwony! Nie trzeba płakać! Niechaj wam nie pękają serca nabrzmiałe od zdyszanego lamentu. Słupami płomiennych, ur o czystych dźwięków bijcie i bijcie w niebo. Niech dzwony uderzą w dzwony i dzwonom swoją pieśń podadzą.

Zadrżały dziwnem jakiemś podnieceniem stutysięczne powitalne tłumy. Poczuły, że oto dzień nam nastał narodowego święta i podniesienia serc ku słońcu. Poczuły, że to nie on sam, ten wielki, zwycięski syn wielkiego narodu na łono swej macierzy powraca — nie on sam, nie on jedyny



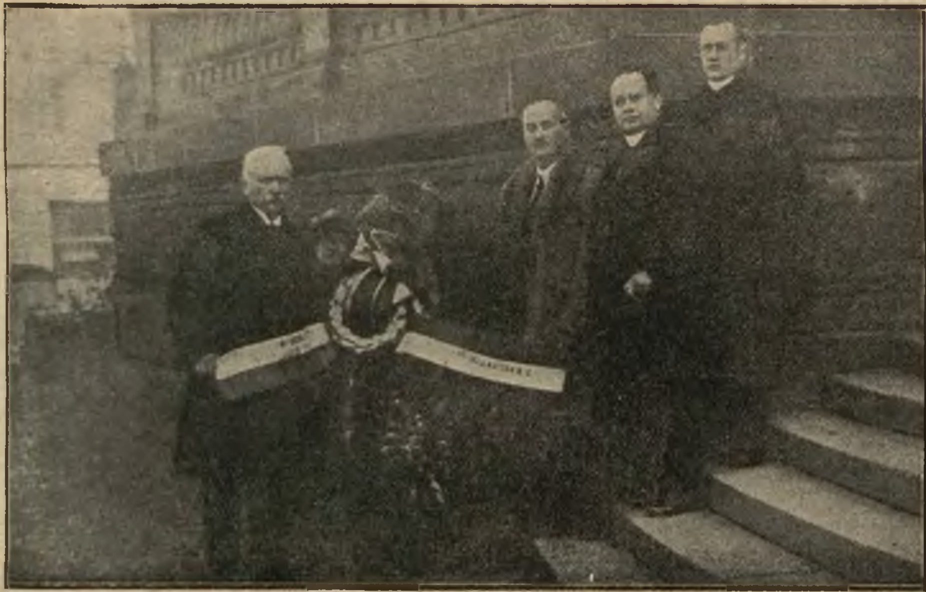
Ci, którzy rozwiązali niemiecki parlament. Kanclerz Rzeszy Marx, który po porozumieniu się z prezydentem Ebertem, ogłosił dekret rozwiązujący parlament i rozpisujący nowe wybory. J. Graudenz.



Rozwiązanie parlamentu niemieckiego nastąpiło 20 października. Opustoszałe kuluary sejmowe. J. Graudenz.



Uroczystość ku czci Sienkiewicza w Zurichu. W drodze z Szwajcarji do ziemi ojczystej zatrzymały się zwłoki wielkiego pisarza w Zurichu, gdzie na dworcu witali je przedstawiciele władz miejscowych i miejscowego społeczeństwa oraz kolonji polskiej. 1) Polski generalny konsulat w Zurichu Czaplicki żegna na dworcu mową zwłoki Sienkiewicza. 2) Członkowie delegacji wraz z wieńcami, które złożono na trumnie Sienkiewicza. J. Graudenz.





Uroczystości ku czci Sienkiewicza. 1) W Pradze. Delegacja kuracjuszy polskich w zdrojach czeskich na uroczystościach ku czci Sienkiewicza, (Józef Węgrzyn, Dr. Wąsowicz, ks. Filthan i ks. T. Żyhar). 2) **W Krakowie.** Delegacje towarzystw z sztandarami u stoków Wawelu przed rozpoczęciem Mszy św.

Płyną z nim, płyną przed nim i za nim olbrzymich uczuć fale. Przeszłość z hukiem powodzi bucha we wrota gościnnie otwierającej ramiona ojczyzny. Przeszłość rycerska, pancerna, skrzydlata. Duchy zagończyków, duchy owych serdecznych żołnierzy z krwi i kości. Wołodyjowscy, Kmicice i Skrzetuscy na czele swoich regimentów wracają w granice nasze z powrotem z odległej wyprawy.

Owa Lauda wierna, owi Wiśniowiecczy pokrajani klingami kozackich i tatarskich szabel, owa Kmicicowa drużyna woluntarska i kamieniecka krwią i kurzem okryta załoga — maszerują z zawadjackim łoskotem, a ksiądz Kamiński werbel na bębnie im bije.



Ś p. Antoni Siemaszko

A przed trumną w warszawskiej katedrze, gdzie tysiące głów w kornem uwielbieniu się kłonią — zda się, że to srebrni Woyniłowiczowscy husarze straż sprawują. Rynsztunek na nich lśniący, twarze marsowe, wąs kręty i sumiasty, a ponad nimi orlopióre wiewają skrzydliska.

Przyszli, przyszli starzy weterani z pod Chocima i Wiednia wielkiemu mężowi i hetmanowi serc polskich ostatnią oddać przysługę.

Przyszli, bo tak się godziło.

Jakże ich braknąć miało nad tą trumną, tych żelaznych zuchów, zabijaków srogich i nieustraszonych, których rycerskie lędźwie do blachą okutych koni przyrosły. Jakże ich braknąć miało na mogile tego, który ich boje i epopeje szkarłatne wyśpiewał.

Jako ze wzrokiem orlim w dal wbitym wyprostowywali się w siodłach.

Jako mocniej i pewniej przed szarżą w prawej garści ściskali kopje.

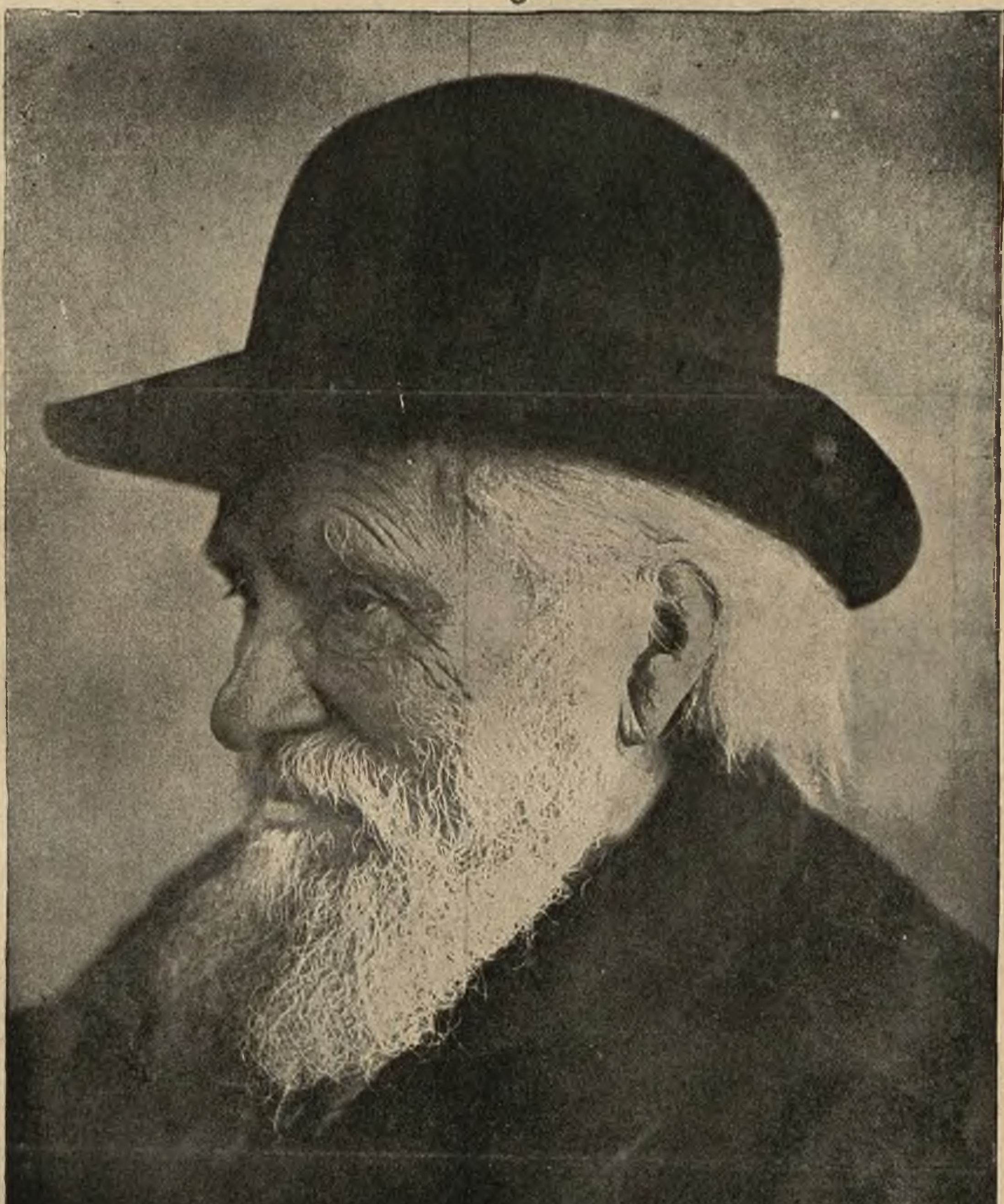
Jako na alarm trąbek srebrzystych pochylali grzbiety i z ciężkim łoskotem zrywali się chorągwiami do lotu.

I jako przy owem: »bij, zabij!« przeraźliwem łamali w drzazgi, jak łan kosili w przebiegu tatarskie czambuły, watahy siczowych mołojców i straszliwe czworoboki szwedzkiej lub janczarkiej piechoty...

A on, ów Pater Patriae z dumą zasalutować po żołniersku ich może. Wskrzesił tę wielkość z grobu, i wielkością natchnął swojego przyszłych pokoleń serca.

Za to, że dreszcz święty w nas obudził, za to, że płomień zażegł w przygasłym zniczu narodowej wiary, za to, że zwątpieniem przywiędłe dusze tchnieniem ożywczem na nowo rozkwiecił — dziękczynną chwalbą modlą się dziś u jego katafalku miljony.

Rapsodowi wieków cześć!...



Odznaczenie Władysława Mickiewicza. Dnia 19 październik odbyła się w Paryżu wzruszająca uroczystość wręczenia zasłużonemu synowi wielkiego wieszcza Polski, — dyplomu honorowego korpusu weteranów polskich oraz potrójnego krzyża waleczności. Czcigodnego starca odznaczył w imieniu rządu polskiego minister Sikorski, bawiacy w celach polityczno-wojskowych w Paryżu.



Minister Skrzyński wygłosił na sejmowej komisji spraw zagranicznych świetne exposé, dotyczące zadań Polski na arenie świata.

Sensacyjny zakład.

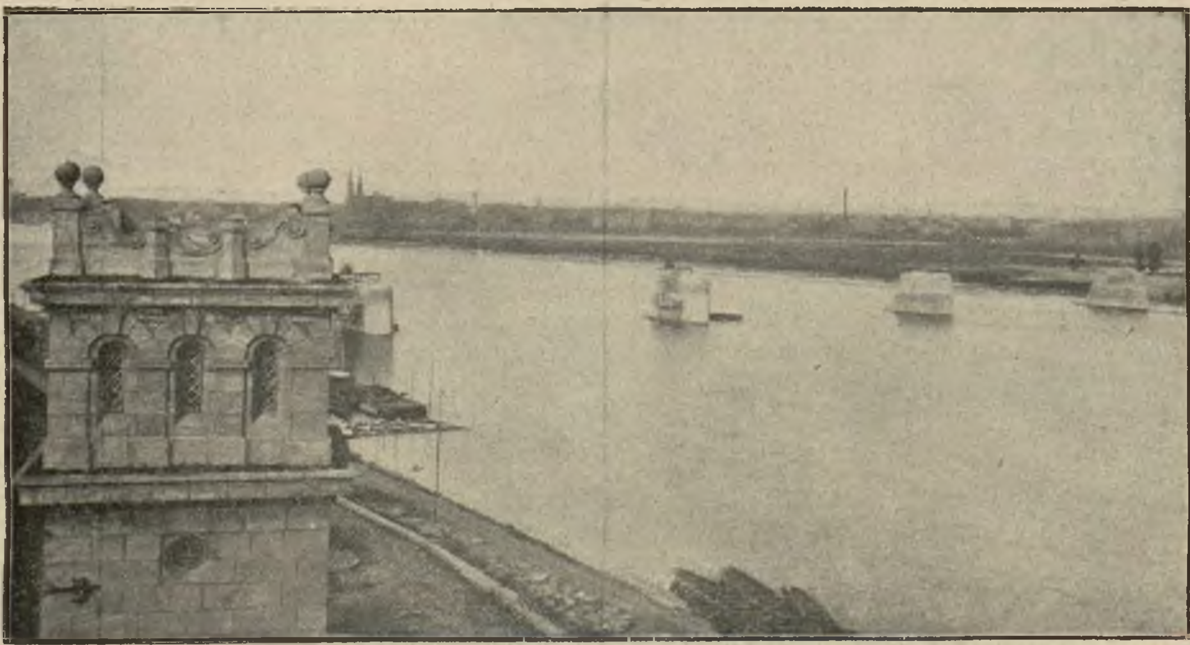
Nazwisko artysty malarza Bruno Lechowskiego jest dziś na ustach całego świata sportowego Polski. Już od dłuższego czasu krążyły wieści o niesłychanie ekstrawagancyjnym i śmiałym zakładzie, jaki zrobił on z jednym ze swoich przyjaciół. Obecnie ogłoszono warunki tego zakładu. Rozmiarami sensacji przerósł on wszelkie oczekiwania. P. Bruno Lechowski ma puścić się w podróż dookoła świata bez pieniędzy, utrzymując się jedynie własną pomysłowością i pracą.

Nie w tem wszakże leży »clou« zakładu. Próby bowiem przejechania świata bez pieniędzy robione były z powodzeniem już niejednokrotnie. Nawet w Polsce. Nie tak dawno przecież gościliśmy u siebie w Krakowie »Globtrettera« polskiego p. Ryszarda Voelpla, który na rowerze objechał świat, nie zabierając z sobą ani grosza.

Oryginalność zakładu p. Lechowskiego polega na tem, że nie wolno mu używać w podróży innego języka jak polski! Jest to pomysł rzeczywiście niesłychanie śmiały. W jaki sposób zamierza p. Lechowski bez pieniędzy i bez używania obcych języków dostać się na okręty naprzykład, celem pokonania olbrzymich morskich przestrzeni, pozostanie narazie jego tajemnicą, z której się podobno nie zwierza.



Sensacyjny zakład. Art. mal Bruno Lechowski z Warszawy, założył się o 300.000 zł, że odbędzie podróż dookoła świata bez pieniędzy, zarobkując w drodze własną praca, oraz używając wyłącznie języka polskiego. Będzie to pierwsza próba przejechania świata przy pomocy języka polskiego.



Budowa nowego mostu kolejowego w Warszawie. Filary mostu są już na ukończeniu. W najbliższym czasie rozpocznie się budowa przęseł. Fot. J. Morzycki.

Ś. p. Antoni Siemaszko.

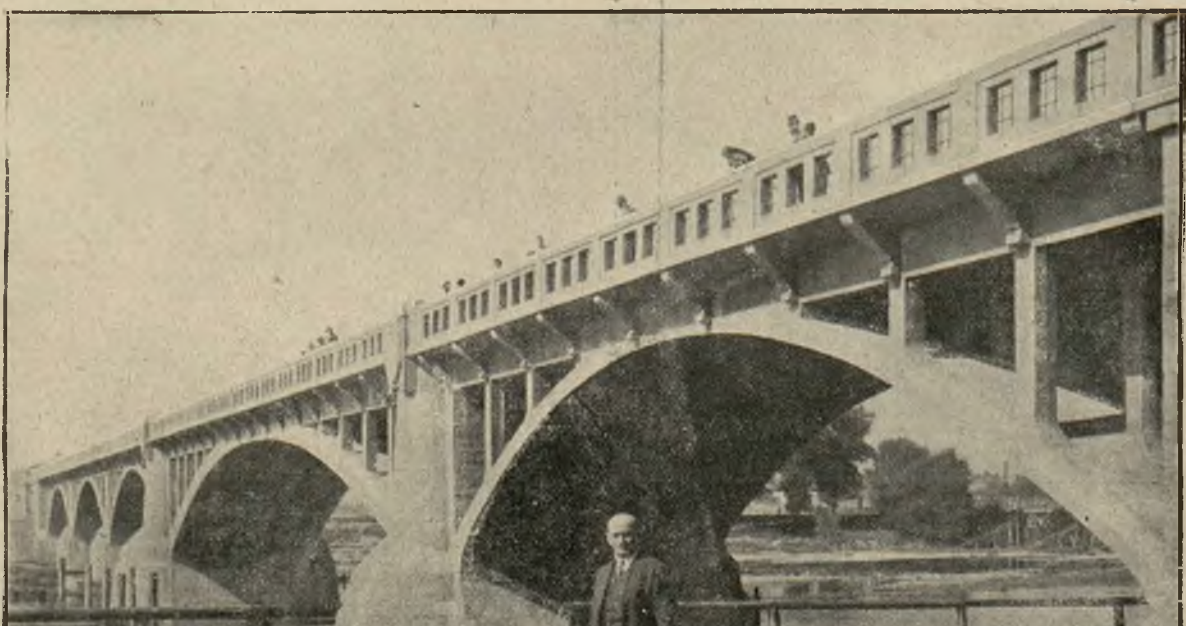
(Do ilustracji na str. 3-ciej).

Z czołowych szeregów artystów dramatycznych starszego pokolenia ubył jeden z najpiękniejszych i najszczerszych talentów. Jeden z tych dziś już ostatnich, którzy metodą pracy, środkami technicznemi, stosunkiem do sztuki przypominali o artystycznem pokoleniu wielkiego przesilenia naturalizmu, namiętnych dysput, gwałtownych walk i polemik. O pokoleniu, które wzrastało jeszcze w okresie Dumasa i Sardou — lecz grało już Ibsena, Maeterlincka, Przybyszewskiego i Wyspiańskiego.

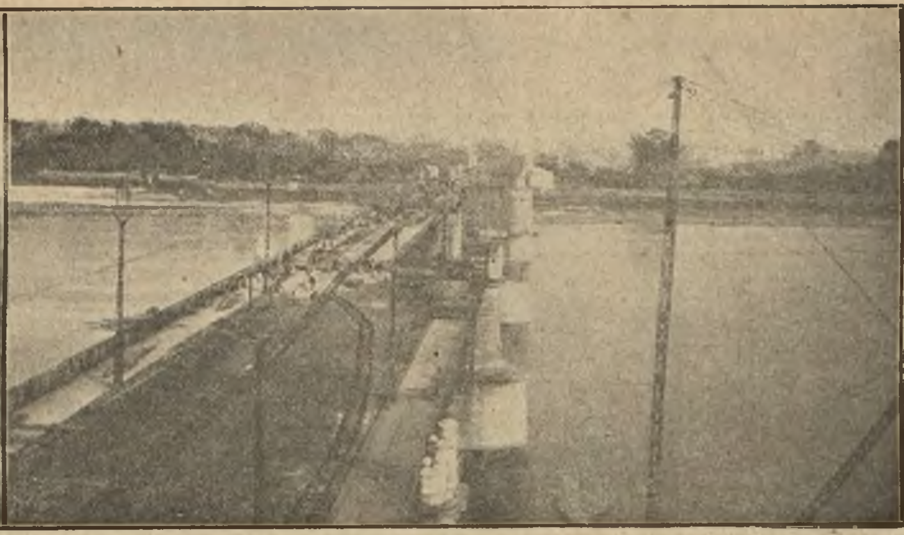
Antoni Siemaszko urodził się w r. 1861-ym w rodzinnym majątku Siemaszkowie. Studja fachowe przeprowadził w szkole dramatycznej Derynga, a w r. 1882-im już występuje w teatrze krakowskim. Pracuje w Krakowie przez lat kilkanaście, aż do r. 1903-go, aby jednak po dwuletnim pobycie we Lwowie znów powrócić pod Wawel. Przez czas pewien jest członkiem zespołu Teatru Rozmaitości, i tym razem jednak wraca do Krakowa. Dopiero po przerwie wojennej, podczas której Siemaszko tak czynnie zajął się sprawą narodową, służąc w Legjonach, na stałe osiadł w Warszawie, kreując na scenach Teatru Polskiego i Teatru Małego najlepsze swe role.

Śmierć p. Siemaszki spowiła żałobą cały polski świat artystyczny.

Cześć jego pamięci.



Poświęcenie mostu żelazno-betonowego na „Sole" pod Oświęcimem w dniu 26 października 1924. Nowy most ma długości 150 m, w pomoście 8·8 m. szeroki i posiada obustronne chodniki po 1·5 m. Most ten jest w obecnej chwili największym tego systemu w Polsce. Koszta budowy wynoszą miljon złotych. (x) Twórca projektu i kierownik budowy inż. Adam Machniewicz.

Odbudowa mostu ks. Józefa Poniatowskiego w Warszawie. 1) Nienaruszona część mostu. 2) Widok na odbudowujący się most z góry. Fot. J. Morzycki.

Nowe mosty w Warszawie.

Warszawa rozbudowuje się. Wraz z zaawansowaniem na stolicę państwa o kilkudziesięciu miljonowej ludności musi ona dotrzymać kroku potrzebom bieżącego życia.

I tak powstaje w Warszawie szereg wielkich gmachów, gdzie znajdują pomieszczenie ministerstwa i centralne instytucje życia Odrodzonej Polski. I tak ze względu na zwiększony napływ ludności buduje się całe kolonje urzędnicze, wojskowe itd. na peryferjach miasta.

Jednym również z objawów tego rozrostu stolicy są plany rozbudowy centralnej stacji kolejowej w Warszawie połączone z budową nowego mostu kolejowego na Wiśle oraz podziemnego tunelu.

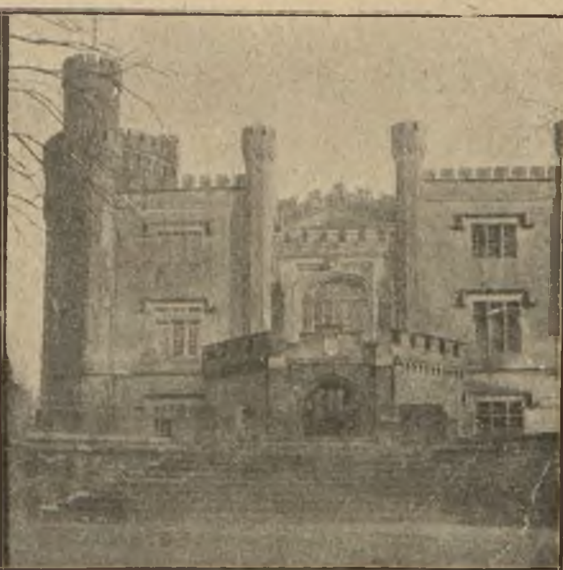
Ów nowy most ma biegnąć równolegle niemal do mostu Poniatowskiego. Pociągi przejeżdżające tędy wpadać będą w tunel ciągnący się pod Alejami Jerozolimskiemi, by wypłynąć na światło dzienne na nowej stacji, która ma stanąć na miejscu obecnego centralnego dworca. Prace nad urzeczywistnieniem tego projektu są w toku. Budowa mostu postępuje naprzód. Rozpoczęto również pracę nad tunelem.

Równolegle niemal postępuje praca nad odbudową mostu im. Józefa Poniatowskiego. Most ten wysadzili Rosjanie w 1914 roku opuszczając Warszawę. W r. 1915 prowizorycznie odbudowali go Niemcy, lecz wkrótce zniszczył go pożar. Dopiero za czasów Odrodzonej Polski przystąpiono do gruntownej restauracji tej tak ważnej dla Warszawy arterji życia i ruchu. Obecnie montuje się ostatnie przęsło. Most ma być otwarty dla ruchu publicznego w czerwcu 1925 r. Przy odbudowie pracuje stale 300 robotników. Roboty prowadzi firma K. Rudzki i Sp., która ongiś z ramienia rządu rosyjskiego budowała most im. Poniatowskiego.




Wyścigi konne w Krakowie. W ubiegłym tygodniu odbyły się na placu wyścigowym 6 p. a. c. w Łobzowie wyścigi konne artylerzystów D. O. K. V. z okazji święta pułkowego 6 „pacu". Na powyższych rycinach fotograf uchwycił momenty brania przeszkód przez zwycięskie konie.





Szlachetny dar wielkiego patrjoty. Sp. hr. Władysław Zamoyski przekazał jeszcze za życia Państwu posiadłość swoją pod Poznaniem, wraz z zamkiem w Kórniku mieszczącym bezcenne zbiory (słynna biblioteka kórnicka, zbiór pasów słuckich, kontuszów staropolskich itp.). Zdjęcia przedstawiają: 1) Zamek w Kórniku od strony południowej. 3) Fronton zamku. Zdjęcie środkowe przedstawia natomiast jedną z bram ogromnego zwierzyńca pod Skierniewicami (ongiś ulubionego miejsca polowań cara Mikołaja), który należy obecnie do rządu polskiego. Fot. J. Morzycki.

Tydzień polityczny.



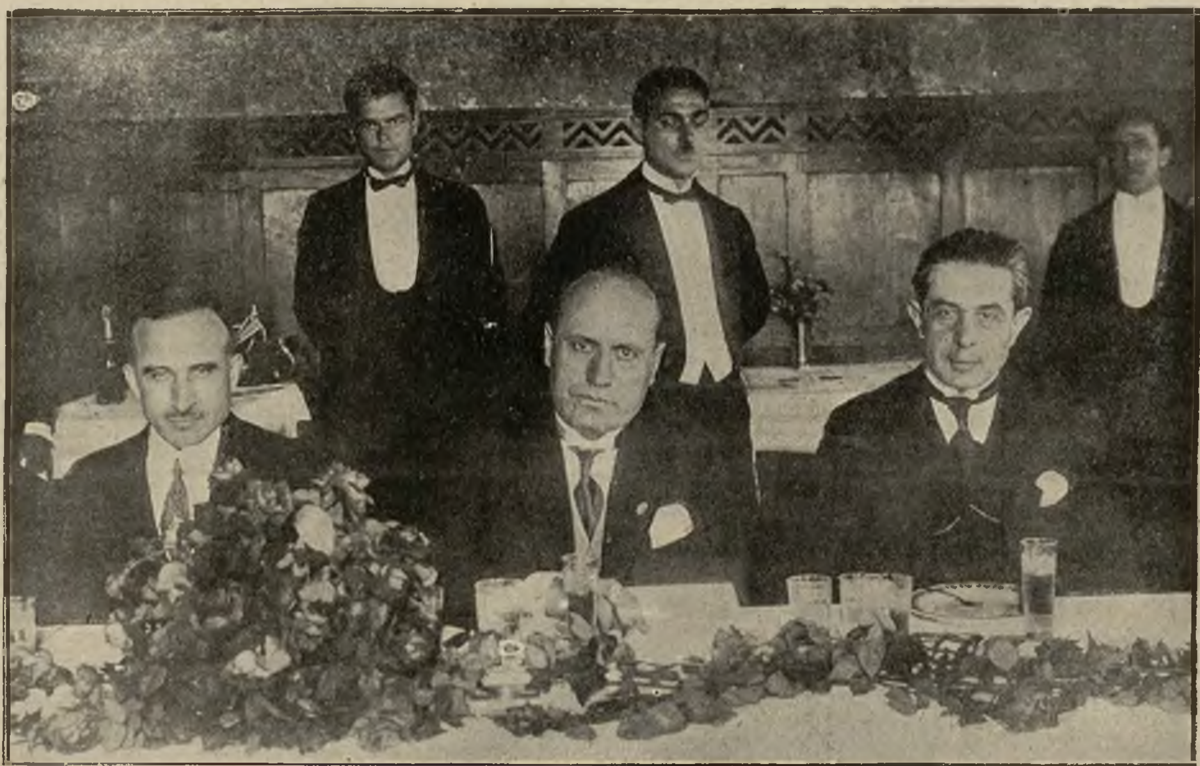


Uroczyste otwarcie rumuńskiego parlamentu. Dnia 15 października b. r. odbyło się w Bukareszcie uroczyste otwarcie nowego paramentu rumuńskiego. 1) Król Ferdynand wraz z królową Marją udaje się do parlamentu. 2) Król Ferdynand odczytuje mowę tronową przed nowowybraną Izbą. J. Grandenz.

Kampanja wyborcza w Anglji.

Kampanja wyborcza w Anglji, której wyniku oczekuje świat cały z niezmiernem naprężeniem uwagi znajduje się w stadjum roztrzygającem... Już zostały zgłoszone kandydatury, już wre walka w okręgach wyborczych. Cała Anglja została zalana potopem afiszy, odezw, proklamacji, plakatów... Radiotelefon roznosi przedwyborcze mowy. Agitatorzy partyjni w lotnych samochodach objeżdżają Anglję: przekonywują, obiecują, krytykują, zachwalają polityczny towar. Przyznać jednak trzeba, że w walce wyborczej Anglicy unikają osobistych napaści i starają się krytykować programy i partje, nie ludzi. Oto jak opisuje pewien moment z tej walki korespondent jednego ze stołecznych dzienników: »Charakterystyczna rozmowa odbyła się w Yorku. Spotkali się dwaj kandydaci, burmistrz miasta Dobbie, socjalista, i płk. Lane Fox, unionista. Uścisnęli sobie dłonie, życząc wzajemnie szczęścia. »Proszę mi dać znać, jeżeli Pan usłyszy coś nieodpowiedniego w agitacji wyborczej« — powiada tow. Dobbie. »Proszę zrobić tak samo« odpowiada p. Fox, — »właśnie słyszałem, że pan podczas wojny starał się uniknąć służby wojskowej«. »Wręcz przeciwnie« — odpiera p. Dobbie — »podczas całej wojny byłem w wojsku i na dwa tygodnie przed zawieszeniem broni zostałem ranny«. »Szczęśliwy jestem, że otrzymałem to wyjaśnienie i uniknąłem przykrej pomyłki« — woła zadowolony p. Fox; przedstawia swemu przeciwnikowi swą żonę, wszyscy wymieniają uściski dłoni i rozchodzą się gotowi do starcia«.

Jest to mały, ale jakże wymowny obrazek... Winni go się nauczyć na pamięć nasi matadorzy partyjni... Metody walk partyjnych to przecież probierz, świadectwo kultury politycznej i poziomu etycznego narodu.



Polityczny bankiet we Włoszech. Wydał go Mussolini ku czci bułgarskiego ministra spraw zewn. Kalkoffa, który w celach politycznych przybył do Rzymu. Od lewej ku prawej siedzą: 1) min. Kalkoff, 2) Mussolini, 3) poseł bułgarski we Włoszech. J. Graudenz.





Przed wyborami w Anglji. 1) Wielki kongres liberałów w Londynie W środku stoi Earl Beauchamp, po jego prawej stronie Asquith, po lewej Lloyd George. 2) Baldwin otwiera wielki meeting partji konserwatywnej. United Newspictures

Z szerokiego świata.





Wojska francuskie opuszczają Dortmund. Wśród powszechnego „entuzjazmu“ Niemców odbywa się opuszczenie Dortmundu. 1) Ostatni raport przed główną komendą. 2) Wymarsz.

J. Graudenz.



Na ruinach starożytnej Hellady.
Wieśniak grecki w narodowym stroju.



Na ruinach starożytnej Hellady.
Chłopka grecka w tradycyjnym narodowym stroju.

Na ruinach starożytnej Hellady.

Nic o polityce. — Dużo o kobietach. — Niewolnice i lalki. — Kto na pierwszem miejscu? — Teatry w Atenach. — Polak dyrektorem kabaretów! — Rozkwit greckiej prasy).

(Oryginalna korespondencja „Nowości Illustrowanych").

Ateny, w październiku.

Prosicie, żeby napisać »coś interesującego«... Dobrze... Wobec tego nie będę pisał nic o polityce... Niech w tem wyręczy mnie inne, »fachowe« pióro, które potrafi zgłębić otchłań tutejszych matactw partyjnych, które zdoła się przebić przez kulisy, ukrywające głównych aktorów, rozgrywanego na politycznej scenie dramatu, które namaca sprężyny, poruszające z ukrycia cały mechanizm zewnętrznych zdarzeń, wypadków, posunięć, znanych wam z codziennej prasy...

Mam napisać »coś interesującego«...

Będę pisał zatem o kobietach. Bo kobieta jest, jak się zgodzicie zapewne, pod każdym stopniem szerokości geograficznej, najbardziej interesującym, najbardziej fascynującym i intrygującym tematem... A zatem tutejsze kobiety... Ale które? Czy te, które śledzę właśnie z za szyb wielkomiejskiej kawiarni, gdzie piszę przy stoliku te słowa? Te, które korowodem barwnym suną przez najruchliwszą ulicę, olśniewając przepychem tualet, błyskając bielą obnażonych ramion, pociągając powabem dekoltów?... Czy też te, które po zaułkach Aten kryją swe zżółkłe, przedwcześnie postarzałe twarze, które przemykają się chyłkiem przez rojowisko ulicy, zginając ramiona pod ciężarem niesionych worów czy koszów, i te, które w wieczornych godzinach wypluwa z siebie żarłoczna gardziel fabryki?...

Powiecie, że jestem nudny i sentymentalny, że piszę to, o czem wszyscy i tak dawno wiedzą, że nie jest specjalną właściwością Grecji ów podział na dwa odrębne światy kobiece, między któremi jest przepaść. Zapewne... Ale tu ten podział tak jaskrawo bije cudzoziemca w oczy, tak zaznacza się na każdym kroku, że domaga się specjalnej uwagi. Pochodzi to z owego »wschodniego« stosunku Greków do kobiet, o którym w poprzednim liście pisałem. Kobieta tutaj w niższych sferach, to niewolnica mężczyzny, to wyrobnica pracująca na utrzymanie dzieci i męża, który całemi dniami, paląc tradycyjną fajkę próżniaczy się nad szklanką wina, podczas gdy żona marnuje swą młodość i zdrowie, w krwawym trudzie zabiegając o egzystencję rodziny. Zwiedzając osiedla wiejskie rozrzucone wokół Aten widziałem znacznie częściej kobiety przy pługu czy sierpie, niż mężczyzn, którzy przepełniają za to zajazdy, szynkownie, oberże. Wśród tych sfer nie zdarzy się spotkać młodej i ładnej kobiety.

Inną jest rola kobiet w środowisku bogatszem, mieszczańskiem. Tu jest ona raczej zabawką, lalką na pokaz. Nie robi zwykle nic, poza wydawaniem zarobionych przez mężczyznę pieniędzy. Ten znów widzi swą ambicję w tem, by zapewnić beztroski i dostatni żywot kobiecie. Ale i tu przebija się »Wschód« ze swoją koncepcją kobiety. W »domowem ognisku« nie jest ona pierwszą osobą jak u nas. Gdy byłem na przyjęciu u jednego z wybitnych greckich mężów stanu, ze zdumieniem spostrzegłem, że na honorowem miejscu przy stole zasiadła nie pani domu, lecz pan domu. Szczegół to drobny, lecz charakterystyczny.





Na ruinach starożytnej Hellady. Piękna panorama wyspy Syra.



Bieg na przełaj berlińskiego Związku Lekkoatletycznego. Doroczny ów bieg zgromadził tłumy uczestników. J. Graudenz.

Lecz dość o tem... Spytacie może o życie artystyczne w Atenach?... Przedstawia się ono rozpaczliwie, beznadziejnie, okropnie. Dziwne to w kraju o tak starej i wielkiej kulturze, która wychyla się tutaj z każdego szczątka ruiny, która mówi z każdego zabytku, przypominając o swej potężnej przeszłości... Trudno znaleźć w Atenach wieczorem jakąś kulturalną rozrywkę. Teatr królewski jest już od roku zamknięty. Repertuar operetki stoi niżej wszelkiego poziomu. Koncerty należą do rzadkości.

Zato mamy tutaj aż dwa kabarety, o pociągających nazwach Lux i Paradies, które w wieczornych godzinach kusząco wabią światłem elektrycznej reklamy. Zaraz na trzeci dzień dowiedziałem się, że dyrektorem ich jest niejaki p. du Conti. Nazwisko to ze zgrozą wymawia się w bogobojnych rodzinach. Wyobraźcież sobie me zdumienie, gdy raz przedstawiono mnie owemu du Conti, i gdy ten przemówił do mnie najczystszą polszczyzną: »Pan przyjeżdża z Polski?« Okazało się, że p. du Conti jest poprostu Kąckim i pochodzi z Warszawy. Ha! jakoś los już tak zdarzył, że Polak wędrujący po świecie musi spotykać wszędzie swych rodaków i to w najrozmaitszych wcieleniach i rolach!...

Na korzyść Grecji należy podkreślić wspaniały rozwój jej prasy. W samych Atenach (liczących 500 tysięcy mieszkańców) wychodzi 12 pism codziennych. Największe z nich bije 50 tysięcy egzemplarzy. Porównajmy to ze stosunkami w Polsce! Należy wszakże dodać, że procent analfabetów w Grecji jest całkiem znikomy.

Narazie dość. Nie należy przeciągać struny cierpliwości czytelników... *Er-Eł.*



Małżeństwo miljardera. Basil Zacharof wielki finansista angielski, rodem z Grecji, który wspierał w czasie wojny wydatnie państwa Ententy, ożenił się w dniach ostatnich mimo mocno podeszłego wieku.



Bieg na przełaj berlińskiego Związku Lekkoatletycznego. Zwycięsca w biegu Schuhmann. J. Grandenz.

Do P. T. Fotografów!

P. T. Fotografów, tak zawodowych, jak amatorów, upraszamy uprzejmie o nadsyłanie nam robionych przez się zdjęć ciekawszych wypadków mogących zainteresować ogół Czytelników, celem reprodukowania ich w naszem Piśmie. Do każdego zdjęcia należy dołączyć notatkę, zawierającą treściwie zebrane szczegóły, ewentualnie przysłać numer któregoś z pism codziennych, gdzie znajdował się już odpowiednia wzmianka. Honorarjum według umowy.

Przesyłki upraszamy adresować: *Redakcya Nowości Illustrowanych", Kraków XV., ul. Kazimierza Wielkiego l. 95.*



Mordnin w Londynie. Stynny tancerz rosyjski Mordnin, bawi na występach w Londynie wzbudzając entuzjazm krytyki. United Newspictures



Tragedja włoskiego lotnika. Znany z wojny pilot włoski Galluzzi znalazł śmierć pod gruzami aeroplanu na lotnisku pod Centocelle. J. Graudenz.



Kanclerz-lord Haldane udaje się na posiedzenie najwyższego sądu, w historycznym stroju angielskich „przedstawicieli Temidy". United Newspictures.

Rzeczy ciekawe.





O czem się mówi w Londynie? 1) Przedewszystkiem o wyborach. Zaprzątają one wszystkich, nawet najmłodszych. Zdjęcie przedstawia najmłodszego mówcę „Partji Pracy“, który objaśnia swych rówieśników o celach „wielkiej polityki świata“. 2) Sport piłki nożnej kwitnie jak zwykle. Grają w nią nawet kobiety. Zdjęcie przedstawia moment z zawodów kobiecych reprezentacyj: Londyn — Oxford. United Newspictures.



Bernard Shaw, sławny pisarz angielski o którego sensacyjnych przygodach młodości opowiada książka p. Springfielda

O czem mówią w Londynie?

(Wybory, wybory! — Sensacyjna przygoda Bernarda Shaw. — Kobieta błaznem. — Krwiożerczy tygrys. — Kot w roli aktora).

Oczywiście o wyborach. Kampanja rozpoczęta, ministrowie i przywódcy partji rozpoczęli swe agitacyjne podroże po okręgach wyborczych. Bo mimo prasy, kinematografu i radio, zawsze wiele znaczy osobiste zetknięcie się kandydatów z wyborcami. Jednym z najruchliwszych przeciwników byłego rządu jest Mr. Churchill, który na licznych meetingach ostrzega przed niebaczną polityką Mac Donalda w stosunku do rządu sowietów, a zarzuca mu obłudę i błędy w sprawach wewnętrznych.

Ale nawet w gorączce rozpolitykowania znajdzie się czas na przeczytanie ciekawej książki, zwłaszcza, jeśli podaje ona ciekawe historje z prywatnego i publicznego życia najbardziej znanych osobistości w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat. Taką książkę wydał świeżo Mr. Springfield. Wśród bardzo, bardzo wielu innych opowiadań jest tam przygoda Bernarda Shawa, z jego młodych lat, kiedy jeszcze był reporterem teatralnym. Wracał raz z Alhamly pod wrażeniem bardzo karkołomnego baletu. Wreszcie znalazłszy się na prostej ulicy nie mógł wytrzymać, by nie spróbować naśladować skoków sławnej Vincenti. Ale nie bardzo mu się wiodło, skoro czternaście razy przy tem upadł. Zbliżył się do niego policjant, dowiedziawszy się jednak o co chodziło nabrał ochoty, by spróbować własnej zręczności, ale z nie większem powodzeniem. Nadszedł stary przodownik i... też dał się porwać »szałowi« tańca akrobatycznego. Łatwo wyobrazić sobie zdumienie mleczarza, który ujrzał trzech panów, w tem dwu umundurowanych, z rzuconemi na ziemię płaszczami w dziwnych podskokach. Nie wiadomo, ileby jeszcze znalazło się amatorów tych ćwiczeń, bo i mleczarz zdjąwszy świtkę, puścił się w tan — nieszczęściem po kilku skokach złamał nogę i trzej mimowolni sprawcy musieli go odwieść do szpitala.

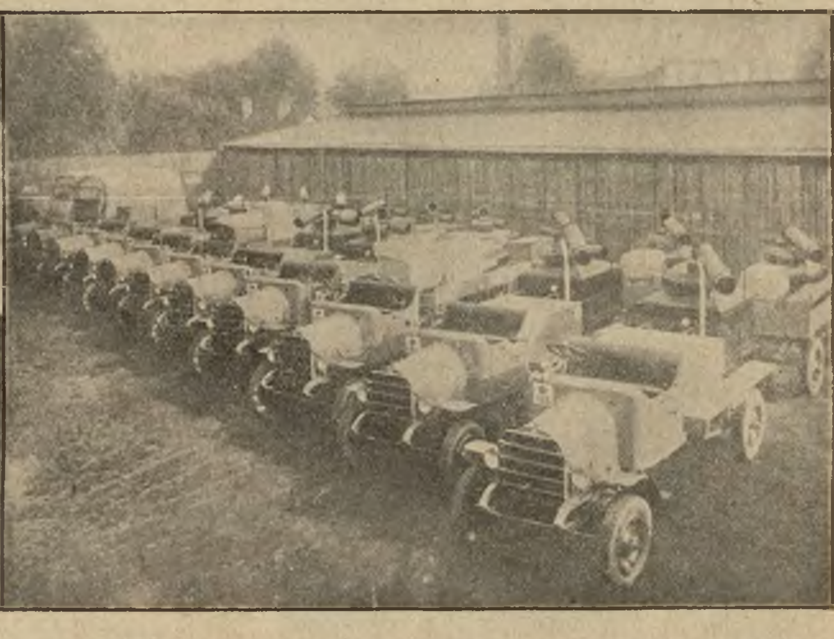


Kobieta błaznem. Urocza artyska angielska miss Ywen Farrar, która niedawno w zastępstwie kolegi grała rolę błazna w Teatrze ks. Yorku.

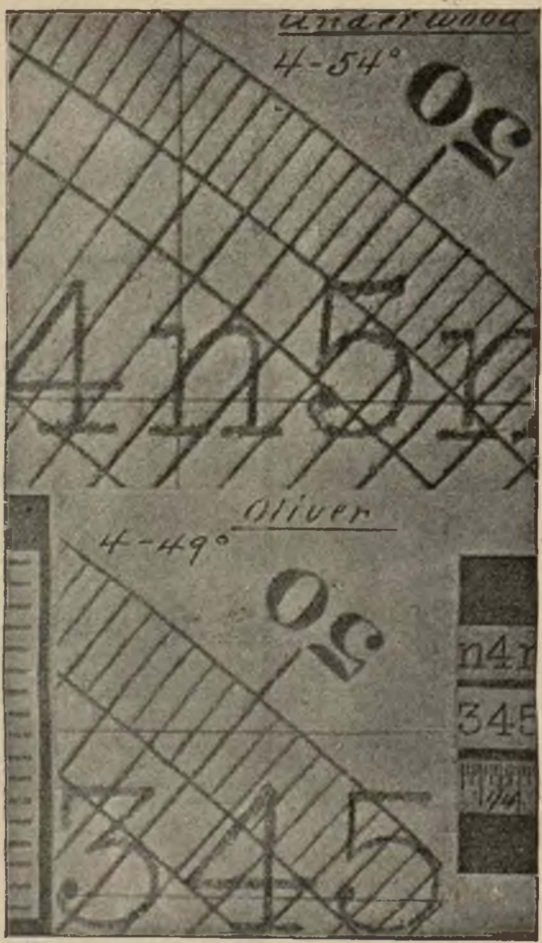
Dzisiejsze teatrzyki nie bawią już publiczności sztukami cyrkowemi. Niedawno jednak występował w pewnej sztuce w »Teatrze księcia Jorku«



Sensacyjny match na szable został rozegrany między reprezentacjami armji i floty angielskiej. Zwyciężyła flota. Continental Press Photo



Piekarnia na samochodach Szwedzka armja wprowadziła ruchome piekarnie polowe na samochodach. J. Graudenz.



„Maszynowa" grafologja: Specjalnym systemem mierzy się kąty nachylenia poszczególnych liter.

klown, który wywołał niemałą senzację. Powodem tego była okoliczność, że aktor przeznaczony do tej roli niespodziewanie zasłabł, a rolę w ostatniej chwili objęła kobieta, Miss Gwen Farrar. Dało to pole do licznych dowcipów, ale artystka wywiązała się z zadania tak dobrze, że postanowiono jej oddać tę rolę na stałe.

Ale amerykańscy artyści nie zadowalają się laurami samej sztuki i stawiają sobie wielkie cele na polu społecznej pracy. Miss Cooles do swych obrazów przeznaczonych dla kościoła potrzebowała modeli zbrodniarzy i wybierała ich sobie w więzieniu. W ciągu siedmioletniej pracy poznała bliżej tych ludzi i doszła do przekonania, że przyczyną ich zbrodni było tylko skierowanie popędu twórczego w złym kierunku. Zakłada więc ligę, której zadaniem będzie wyszukiwać wśród przestępców ludzi utalentowanych, i wartościowych i umożliwić im powrót do uczciwego i twórczego, — w właściwym dla każdego zakresie — życia.

Metoda ta może oczywiście spotkać się ze sceptyzmem tych, którzy znają przestępców złych z natury jak dzikie zwierzęta. Assumpt do takich porównań daje właśnie świeża przygoda z krwiożerczym tygrysem, który pustoszył okolice Burny, tak, że mieszkańcy nawet we wioskach nie byli pewni życia i nałożono nawet »cenę na jego głowę«! Aż wreszcie upolował go pewien oficer, prawda że w bardzo bezwzględny sposó. Mianowicie zwłoki kobiety zabitej przez tygrysa kazał zostawić na miejscu wypadku, a dla siebie urządzić platformę na pobliskiem drzewie i tam czekał tygrysa. Rzeczywiście w nocy zwierz wrócił po swój łup i padł ugodzony celnym strzałem między świecące w ciemności oczy.

Za te szkody wyrządzone przez dzikiego tygrysa, stara się przebłagać ludzi daleki jego krewny, fenomenalny kotek Felix, który jest... artystą filmowym. Ale i jego gwiazda zaczyna blednąć wobec nowej, jaką jest pies Bonzo. Występy jego już się zaczynają na ekranie — a popularność musi być znaczna, skoro jest nawet piosenka, że jest on »très bonzo«.

Londyn, w październiku. *Zet.*



Ze świata mody. Zima się zbliża, wraz z nią najnowsze kreacje „futrzane". Obrazek z Hyde-Park w Londynie. Continental Press Photo.

„Maszynowa" grafologja na usługach kryminalistyki.

Dzisiejsi następcy Sherlocka Holmesa mają tak wielkie zadanie przed sobą, że jeden człowiek nie może już ogarnąć całej wiedzy potrzebnej w tym fachu. Sam Holmes, który trzydzieści lat temu był specjalistą, niemal do karykatury posuniętym, dziś byłby niemal polihistorem, wobec tych kolegów po fachu, którzy zajmują się pewnemi



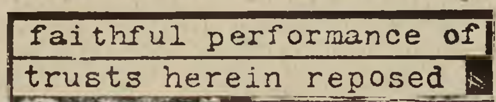
Ze świata mody. Król mody paryskiej p. Poiret z jednego kawałka materji tworzy wspaniałą kreację balową. Continental Press Photo.

sprawami. Tak np. w Wootworth Building w Nowym Jorku mieszka ekspert od pisma maszynowego, który jest w swoim rodzaju fenomenem.

Zadanie jego nie jest tak proste. Modeli maszyn do pisania jest dziś olbrzymia ilość. Nadto ten sam model niejednokrotnie uzupełniono i zmieniono nieznacznie co prawda — ale właśnie nieznaczne szczegóły stanowią nieraz podstawę ważnych odkryć. To też pan Hilton Burnet jest znawcą historji maszyn do pisania. Po długoletnich syzyfowych studjach zebrał daty najdrobniejszych zmian, jakim uległy różne maszyny. Materjał przez niego zebrany — który musi z każdym dniem uzupełniać współczesnemi danemi — starczyłby na wielotomowe dzieło.



„Maszynowa" grafologja: Fałszerz o $^{3}/_{1000}$ centym pomylił się w ustawieniu liter!



„Maszynowa" grafologja: Dwie linijki podejrzanego testamentu. Druga sfałszowana!

A oprócz tych zmian dotyczących poszczególnych typów, w pewnych okresach każda maszyna posiada indywidualne cechy, częścią wynikłe z drobnych różnic w złożeniu poszczególnych elementów, częścią rozwiniętych przez jej używanie. Z tego powodu sułtanowi, który zakazał używania i sprowadzania maszyn w obawie przed fałszerstwami, słusznie zwrócono uwagę, że dwie maszyny tak różnią się od siebie, jak dwie kobiety w jego haremie. Ale żeby te najdrobniejsze różnice dostrzedz, trzeba umiejętności p. Mr. Burtona. Dzięki niej zdołał on odegrać w niezliczonych wypadkach anonimów, szantażu, fałszerstw, podstawionych osób, spraw spadkowych taką rolę jak jego poprzednik Sh. Holmes — nie ma tylko niestety przyjaciela biografa. A Ameryka, kraj fortun, o które warto walczyć, liczy mnóstwo tego rodzaju wypadków.



„Maszynowa" grafologja: Drobne różnice między literami, które wychodzą przy ich powiększeniu.

Tak np. pewna jedynaczka odziedziczyła po ojcu ok. 25,000.000 dol. — Tymczasem zgłosił się człowiek, podający się za naturalnego syna zmarłego, który przedstawił testament, zawierający dla niego legat dziesięciomiljonowy. Podpis zmarłego okazał się autentyczny. Ale adwokat spadkobierczyni wezwał Mr. Burneta do zbadania dokumentu. I okazało się, że fałszerz na arkuszu opatrzonym autentycznym podpisem wypisał testament. Na szczęście użył maszyny Premier, bo taką samą zmarły rzeczywiście posiadał. Ale w maszynach tych od roku 1920 wprowadzono nieznaczne zmiany w wykończeniu liter jak »r« »f« itd. Testament zaś był datowany w 1918 r. byłby więc musiał być pisany na Premierze starym, bez poprawek. Tak Mr. Burton ocalił dla dziedziczki połowę jej majątku!

Wogóle daty w tych sprawach są ogromnie ważne, i gdyby fałszerze je lepiej znali, instytucje finansowe byłyby znacznie mniej bezpieczne. Np. każdy dokument z przed 1867 r. jest fałszywy, jeżeli jego papier zawiera włókna drzewa, bo dopiero w tym roku użyto ich do fabrykacji papieru.

Nasze rysunki uwidaczniają niektóre szczegóły, jakiemi kieruje się amerykański detektyw, grafolog w swoich ekspertyzach. *Zebr.*



Ze świata mody. Wspaniały jesienny płaszcz futrzany sfotografowany na ulicach Londynu. Continental Press Photo.

J. BRAUN.

„DEMON FILMU“

19

Rychło pozostał w tyle, aż zmylił kierunek przy niebezpiecznem wymijaniu skotłowanych na rozstaju ulic wozów i stracił zupełnie z oczu umykającą maszynę.

Mac klął, jak dragon i rwał włosy z głowy.

— Jeszcze raz dał nura ten wcielony szatan!!!

Kazał zawrócić i pojechał ponury, z nosem na kwintę, jak lampart, któremu nie dopisało „powodzenie w łowach“.

ROZDZIAŁ XVII.

Sabat stolicy.

„Demon spłonął.

Ponury, tytaniczny wstrząs targnął dwudziestomiljonową stolicą. Z ust do ust szła wieść straszliwa, depesze rozniosły ją, roztrąbiły po wszystkich częściach świata. Stacje radjotelegraficzne funkcjonowały bez przerwy.

Zapytywano z Paryża, interpelowano z Rzymu, naglono z San Francisko.

Dnia tego szpalty tysiąca dzienników roiły się od opisów tej katastrofy. Gruchnęły znów alarmy, znów posypały się oskarżenia i ostre inwektywy pod adresem policji, która wbrew „opinji“ odważyła się działać i terroryzować stolicę.

— Supremacja kasty! Samowola despotycznych kacyków reakcyjnych! — krzyczały pisma codzienne. — Trzeba raz skończyć z konspiracyjnem knowaniem uzurpatorskich jednostek działających poza plecami samorządu. Prosimy panów posłów o zabranie głosu w tej sprawie. Parlament ma głos!!!

Parlament ma głos! — grzmiały na ulicach podniecone tłumy.

Ale parlament milczał. Czuł się winnym, bo na ostatnich zebraniach pewnych klubów uchwalono sankcjonować milcząco kampanję Wielkiego Detektywa. Borghe zatryumfował wreszcie. Stronnictwo jego przeforsowało dla niego „carte blanche“ na wszystko, cokolwiek uzna za stosowne przedsięwzięć dla uwolnienia stolicy od dręczącej zmory.

Dzienniki tokowały coraz zawzięciej. Zacietrzewiano się. Ludzie skakali sobie z pięściami do oczu. Oskarżono policję o rozmyślne podpalenie kinoteatru w celu zupełnego zgładzenia go z powierzchni ziemi.

Lady Aladin krzyczała najgłośniej. W salonach jej spotykali się ludzie wpływowi i znaczni, redaktorowie wielkich wydawnictw i zapalczywi dyplomaci wiedli prym na jej orgjastycznych seansach. Podburzała ich, parła do energicznych wystąpień, przebiegle podżegała i podtrzymywała akcję obronnej kampanji na rzecz Blanka.

— Zgwałcono was — unosiła się. — Wolnych obywateli zgromadzonych w przybytku prawnie dozwolonych widowisk wyrzucono poprostu na ulicę. Kpiąc sobie z najprymitywniejszych zasad przyzwoitości. Podłożono ogień pod gmach, by zburzyć teatr, nie oglądając się na skutki tych bezwzględnie brutalnych metod postępowania. Rzucono tłum na pastwę paniki!!... To okropne!...

Redaktorzy kiwali głowami i wydawali okrzyki świętego oburzenia...

— Panowie! Pomyślcie tylko! Cztery tysiące osób stłoczonych we wnętrzu tego gmachu... I znajdują się ludzie, którzy mają czelność i niesumienną odwagę wywołać pożar. Ależ to jeszcze cud, że obeszło się bez większych ofiar w ludziach. To cud, że pod gruzami walącego się teatru nie zagrzebano setek niewinnych ofiar. Że służba dyrektora Blanka okazała tyle przytomności umysłu... Że dzięki momentalnemu otwarciu wszystkich możliwych przejść strumień ludzki mógł odpłynąć dość szybko z gmachu. Gdyby nie to — strach pomyśleć! Byłam tam przecież, był tam i niejeden z panów zapewne. Przewrócono mnie, pokaleczono, podarto na mnie suknie. Ludzie popadali w szał ze strachu... I doprawdy, gdy sobie uzmysławiam, coby się tam działo, gdyby ogień zamknął odwrót tym rzeszom, zwłaszcza uciekającym z górnych pięter — włosy mi dębem stają na głowie!...

Redaktorowie pisali wszystko w notesach...

Pogłoska, jakoby to sama policja zaprószyła ogień w kinie wszerz i wzdłuż obiegła całą stolicę znajdując przeważnie wiarę. Ludzie osłupieli ze zgrozy, a ochłonąwszy rzucili się, jak wściekłe psy na władze. Policjantów lżono na posterunkach. Przechodzące w ostrem pogotowiu patrole obrzucano kamieniami i gradem wyzwisk. Przed gmachem, gdzie urzędował Borghe tłuszcza urządzała hałaśliwe demonstracje. Raz, omal, że nie przyszło do rozlewu krwi i tylko przytomności umysłu Wielkiego Detektywa i jego funkcjonarjuszy należało zawdzięczać opanowanie groźnej sytuacji...

Ale Borghe nie dał się zastraszyć.

Litował się nad tem biednem, ogłupionem przez fatalny obłęd ludzkim stadem.

— Czyń dobrze, a oplują cię żółcią i jadem — myślał rozgoryczony i smutny, ale im większe wyrastały przed nim trudności, im większe brzemię oszczerstw, kalumnji i nienawiści ludzkiej dźwigał na swoich barkach, tem więcej utwierdzał się w swych zamiarach, tem sprężyściej prostował się i olbrzymiał, tem zaciekłej zacietrzewiał się w pracy dla niewdzięcznych współziomków.

— Zbrodniarzy zgładzić. Chwasty wyciąć, zgniliznę wypalić rozpalonem żelazem, głupotę wypędzić batem — szeptał przez zaciśnięte zęby ze straszliwym ogniem w oczach.

— Mac, nie ustąpimy! — rzekł do głównego ajenta, zachwyconego stanowczością i bezwzględnością szefa.

— Nie ustąpimy — huknął tamten w głos.

— Jutro obsadzisz atelier. Działaj ostrożnie, a szybko, Daxa musimy mieć nareszcie w ręku. Jeżeli nie przymkniemy go jutro w atelier, zbombardujemy statek. Dość już kunktatorstwa, ociągania się i zwlekań. Rana zajątrzyła się...

Stuknął się palcem w czoło..

— Ah, byłbym zapomniał..

Zadzwonił.

— Halloo.

— Kto mówi?

— Tutaj Borghe.

— Djana Storm.

— A, doskonale... mam dla pani upragnioną z dawna wiadomość...

— Więc już?

— Jutro!

— Kto prowadzi?

— Pan Mac Sterling.

— Mogę iść razem z nim?

— Właśnie z tą myślą daję znać o wyprawie. Ale...

— Co za „ale“?

— Proszę rozważyć wszelkie ewentualności...

— Nie istnieją takie, któreby mnie mogły powstrzymać.

— Mogą stawiać opór.

— Kto — aktorzy?

— Nie. Dax, jego szajka, służba, robotnicy...

— Furda. Nie boję się.

— Winszuję odwagi.

— Więc jutro?... Będę u pana. O której?

— Szósta wieczór... Atak nastąpi o dziewiątej

— Do widzenia.. Będę napewno...

— Do widzenia..

Zwrócił się do ajenta

— Mac! Pani Storm pójdzie z wami Ale... no wiesz..

— Rozumiem. Niebezpieczeństwo..

— Tak. Czuwaj nad nią. Ta kobieta przysłużyła się nam bardzo..

— Patrząc na nią nigdybym był nie przypuścił takiej energji, siły woli i odwagi... To przecież tak delikatne stworzenie...

— Masz rację. I mnie to zdumiewa Ale dość! Do dzieła!! Jutro o szóstej u mnie.

Mac skłonił się i wyszedł.

Kości były rzucone. Gra toczyła się już o największą stawkę. Dwie druzgocące siły, dwaj potentaci ducha starli się z sobą prawie pierś o pierś Jeden miał za sobą szlachetny zapał i prawo, drugi niepohamowaną ambicję i siłę rozbójniczej mafji, jeden miał poza sobą zorganizowany aparat nowoczesnej służby bezpieczeństwa, drugi wzburzone, zahypnotyzowane masy, swój djabelski spryt i straceńczą zuchwałość awanturnika. Siły równe prawie.

Zwycięstwo mogło się przechylić na jedną, lub na drugą stronę — ale szanse Borghe'a zwiększał jego rozmach i brutalność czynu, nie licząca się z niczem. Tłum mógł się rozwiać, jak chmura pod uderzeniem wichru i Dax pozostałby wtedy sam ze swoją garstką, jak na straconym szańcu w obliczu miażdżącej machiny sprawiedliwości społecznej. Olbrzymi walec ruszył, młot zawisnął na moment ponad kowadłem.

A był już zaiste czas najwyższy...

Straszliwe dzieło „Demona“ poczęło wydawać owoce tak potworne, tak groźne w swej trucicielskiej potędze, że trzeźwo patrzący, uczciwi obywatele chwytali się za głowę na widok tej tragedji w porywie rozpaczy,

„Sabat czarownic i demonów“ — oto, jak można było określić to, co się obecnie działo w stolicy. Po pożarze kina szał wzrósł jeszcze. Obłęd przybrał zatrważające rozmiary.

Ludzie pozbawieni dotychczasowych dawek narkotyku, wyrwani nagle z trybów i szpon hypnozy potracili głowy i instynktownie, by zagłuszyć wściekły alarm nałogu rzucili się w wir jeszcze dzikszych bacchanalji i zbrodni.

Atmosfera stała się duszna i niemożliwa do zniesienia. W tych paru dniach, które nastąpiły po zniszczeniu „Demona“ wyładował się cały, kolosalny nabój elektryczności nagromadzonej w mózgach i nerwach ludzkich.

Kto odważył się, jak Dante rozpocząć wędrówkę po tem „piekle na ziemi“ ujrzałby rzeczy potworne i mrożące krew w żyłach.

Zakażeni owym tajemniczym obłędem zgangrenowali wszystko i wszystkich, sami wyuzdani i zbrodniczy. Nieogarnięci chorobą żyli w ciągłem napięciu nerwów, w ustawicznej trwodze, w osłupieniu na widok tego, co się obok nich działo. Zresztą trucizna przenikała wszędzie. Nikt nie był pewny swego brata, przyjaciela, ni sąsiada, czy on właśnie nie padł ofiarą tej „mózgowej dżumy“. Nikt nie był pewien, czy żona, siostra i córka jego dotychczas najnormalniejsza w świecie i idąca prostą drogą nie odda się na ulicy rzezimieszkom i rozpustnikom, nie utonie w kałuży plugawych bezeceństw, nie stoczy się do rynsztoku zboczeń, homoseksualizmu i orgjastycznych wybryków.

(Ciąg dalszy nastąpi).

KAZIMIERZ ANDRZEJ CZYŻOWSKI.

SZEŚĆ GODZIN

12 Powieść.

Niski człowiek wieczorem wrócił z miasteczka. Gdy przejeżdżał przejeżdżał przez wieś, zastanowiły go gromadki bab, niedorostków i starców, żywo nad czemś pod chatami rajcujące.

I — niestety — dowiedział się o czem radzono. Okazał się znowu Daniel, którego dzikim nazwano.

Tak długo opowiadano sobie o nim i o zbrodni w leśniczówce przy zimowych ogniskach, tak często przesądni spotykali ducha jego czy zjawę w ciemnych kątach pod kościółkiem, czy koło leśniczówki, tak wiele rozmaitych baśni z jakiegoś ukrytego powodu spychano na to nieszczęsne imię, że istotnie dzikiem ono się stało, ni to żywem, ni umarłem.

I oto teraz zbiegły się wszystkie jego wywoływania i zaklęcia i on sam ukazał się.

Tym razem niewątpliwie.

Widziano go na pewno.

Stary jakób spotkał go w lesie, a Szymon stary widział go w leśniczówce.

Niewiadomo poco przybył. Mówią — pół-wojak, pół-włóczęga. Jasny pan prezes (bo niski człowiek został prezesem powiatu) podniół alarm. Poszła wieść, że Dziki Daniel napewno przybył, by znowu kogoś zamordować, bo takie widać jest jego przekleństwo. Że zresztą, jeśli nie to, to inne nieszczęście stanie się.

I zrobiono obławę. Sprowadzono wojsko i resztę chłopów z okolicznych wsi. Ale dziki Daniel znowu znikł, jak się pokazał.

(Pani powieki już nie drżały. Na bladej jej twarzyczce zarysował się znak zaparcia się i woli. Otworzyła oczy spokojne, choć rozpalone i ścigające każde słowo opowieści i szepnęła dobitnie. —

— Chcę wiedzieć, co się działo z Danielem).

— Ach, to może nie jest najważniejsze.

Miast swego pana, on wstąpił do „powstańców".

Zaraz w pierwszych bitwach, zdaje się, dostał się do niewoli, a ponieważ walczył przeciwko państwu, którego był poddanym, groził mu stryczek. Uciekł więc z niewoli i lasami przedarł się aż pod rodzinny dom.

Bał się jednak wejść pod dach rodzica, bo wiedział już prawie napewno, komu zawdzięcza swój los.

Zszedł więc do jasnej pani i wpierw jej się wyspowiadał. W przeciągu jednej nocy oboje przeżyli śmierć wielu złudzeń i narodziny wielu zdawało się umarłych wiar.

(Przez usta pani przebiegł maleńki, smutny, jedwo dostrzegalny uśmiech).

Anna była jasną naprawdę. W umyśle jej rozwiązały się niektóre zagadki, a choć jej serce pękało z niespodziewanego bólu, posłała rankiem do ojca Danielowego i syna mu wskrzesiła. Tego samego dnia przyniosła Danielowi list od rodzica, radosny wszystkiemi błogosławieństwami z nad grobu, za to odzyska ie wiary i nadziei całego życia.

Wraz z listem staruszek ostatnią wolę swoją przesłał synowi, błogosławiąc go też, za spadkobierstwo w walce o ojczyznę. Starowina znał położenie syna, ucieki iera i więźnia z niewoli i nie spodziewał się zobaczyć go już oczyma swemi staremi.

W nocy obława wygoniła Daniela znowu na jego tułacze, dalekie szlaki.

Ale wraz z nim, istotnie nowe nieszczęście weszło do puszczy.

Prawdopodobnie jasna pani spojrzała ostro i prosto w żółte oczki małego człowieka i spytała go, czy i ją zamorduje.

Prawdopodobnie mały człowiek jęczał i płakał i przydeptany do ziemi, przyznał się do zbrodni, nie mając innego wyjścia.

Ale pewnie, gdy prochłami spłukiwał z pod stóp jasnej pani, za szklanemi jego źrenicami już się czaiły szyleiy.

Prawdopodobnie Anna precz go wygnała.

A na drugi dzień znaleziono ją nieżywą.

Pan jaśnie prezes znalazł ją przy świadku Szymonie.

Poraz drugi przeklęto imię Daniela dzikiego, lecz do powieści o nim doszły dziwnie niepokojące i tajemniczo szeptane objaśnienia.

Sam pan prezes zakazał wspominać o nim raz na zawsze.

* * *

Wkrótce potem umarł stary, siwiuteńki pan, a na gospodarce został pan Wilhelm Szporn, prawem kaduka i oszusta, zagarniając Danielowy majątek.

(Pani z niemą prośbą w oczach spojrzała na mówiącego, jakby go prosiła o mniej ostre słowa).

Tymczasem Daniel rzucany wojną to tu, to tam, deptał swemi nogami globus ziemski i w różnych krajach, z różnych zdarzeń i od ludzi coraz to innych, uczył się mądrości.

Bo w czas wojny, mądrości łatwo i szybko można się nauczyć.

Losy rzucały nim tak rozmaicie, że nie do wiary fantastyc ne przeżywał zdarzenia.

Był powstańcem na Syberji i kupcem w Chinach i nauczycielem w małej wiosce indyjskiej i majtkiem na różnych okrętach. Z jasnego, pogodnego chłopaka, dla którego świat cały to była wieś ojca i puszcza okoliczna, zamienił się w znakomitego „globtrettera", facho ca wielu zawodów, tułacza bez nazwiska, ale z olbrzymim spisem doświadczenia.

Fantastycznymi zgoła sposobami dorabiał się rekordowo szybko wielkich fortun, — po to, by szybciej jeszcze je tracić. Od wesołych uczt i leniwych odpoczynków, poprzez pracę ostatni pot wyciskającą i przygody groźne śmiercią niejednokrotnie, zażywał całej skali życia.

Pierś jego szeroko się rozrosła i żył też szeroko, oddychając powietrzem całej kuli ziemskiej.

I to właśnie wielkie, olbrzymie życie bez nazwis a od przypadku do przypadku, od przygody do przygody, wyleczyło go z bólu tamtego życia, pod nazwiskiem i pod stałym dachem.

Nauczył się czytać w życiu z pisma dni i wydarzeń. Słuchał wykładów wielu lasów i rzek, egzamina składał przed górami i na wielu morzach i dopiero teraz zrozumiał dawno przeczytane książki mądrości ludzkiej.

Z tysięcy spotkanych ludzi wyrobiło się w nim pojęcie o człowieku, z ogromnych rozmaitości wielu żyć i bytowań, — myśl o jednem życiu.

Poprzez ten olbrzymi, jak potop zalewający chaos coraz to innych zdarzeń i pomyśleń, gwiazda Daniela przeprowadziła go na suchy i jasny brzeg spokoju i zrozumienia.

Oczom jego jasność powróciła dawna, tylko głębsza, a czoło jego stało się jak mosiądz twarde i błyszczące nie uczoną, ale tą prostą, życiową mądrością.

(Pomimowoli pani podniosła znowu oczy i spojrzała na opalone czoło obcego).

Dokoła ziemi, biegiem dni i wydarzeń, pewnego ranka dotarł znowu do granic swego rodzinnego kraju, tak dawno niewidzianego.

I wtedy doznał przedziwnego wrażenia.

Oto przez tyle lat żyjąca w nim, na najgłębszej skrytości serca tęsknota i ukochanie tej ziemi, która go na świat wydała, wybuchła teraz potężnym płomieniem bunu i miłości, bólu i przywiązania.

Wiedział już dawno o tem, że kraj jego jest wolnym od wrogów i wskrzeszonym do własnego życia. Świadomość ta była mu kompasem w podróży przez przygody i ziemie świata całego.

Najcichszą tęsknotą spodziewał się, że w tej wolnej i cudem narodzonej ojczyźnie, wszystko jest inaczej. Że jest ona tak niewinną, jak dziecko nowo-narodzone, — tak czystą, jak krew bohaterów zapłacona za nią

Że oddechem jej jest młoda, pełna poświęcenia szlachetność i entuzjazm człowieczej wolności. Że wszystko co złe było w niej, jako niewolnicy je zcze, teraz albo się skruszyło w pokorze i pokucie, albo wraz z jej wrogami uciekło za jej cienie.

Więc gdy przekroczył jej granice, zdawało mu się, że wszedł do kraju obiecanego. — Cóż więc dziwnego, że płakał. Tembardziej.. Tembardziej, że była w nim jeszcze jedna potężna tęsknota, do której szedł uparcie, niezmęczenie, jako do swego własnego wyzwolenia.

Oto im bardziej go czas odgradzał od tych szczęśliwych lat przeszłych w puszczy w gronie przyjaciół, tem mocniej żyła w nim tęsknota do pewnych wzruszeń, obiecanych mu przez jasną Annę.

Wszak Anna miała siostrę, którą Marją nazywała. Wszak opowiadała o niej Danielowi długie bajki, w których zawsze na końcu była myśl, by Marja poznała się z Danielem i by się pokochali, bo oboje warci są tego.

Z tych opowiadań jasnej pani Daniel stworzył sobie obraz Marji idealny, a im dalej był od niej samej, tym bliższym stawał mu się jej obraz. Im dłużej sam tułał się po świecie, tem żywiej ona chodziła z nim wszędzie.

Nie wiedział wprawdzie, czy taka jest w życiu rzeczywistem, tam gdzieś, daleko, — jaką on w sobie ją nosił, ale tęsknił do niej całem sercem swojem, nigdy jeszcze i nikomu nie ofiarowanem.

Możnaby na ten temat wiele słów powiedzieć, a wszystkie one nie dość dokładnie jeszcze odmalowałyby to, co się działo z tą dziwną miłością Daniela.

Powiedzmy więc krótko, że kochał ją całą duszą spragnioną miłości i według tej właśnie miłości szedł ku niej miesiące całe i lata, pełen tęsknoty i niepokoju o nią.

Daniel był człowiekiem z krwi i kości, silnym i zahartowanym tysiącem przygód, więc po ludzku tęsknił do jej oczu, ust i rąk. Już mu nie wystarczał obraz jej, — pragnął jej samej, żywej, jasnej, tej którą mu Anna obiecała.

Żadna z wielu spotkanych kobiet nie zatrzymała go dłużej, aniżeli na chwilę poznania. Żadna z nich w najmniejszej nawet mierze nie była podobną do tej Marji, która w nim żyła i do której tęsknił coraz ogromniej. Im bliżej był jej jednak, tem większy niepokój ogarniał go o nią.

Zdala, gdy zwykłe rzeki i góry tylko dzieliły go od niej, wszystko po ich przebyciu zdawało mu się możliwem. Wiedział, że jest za nimi i nie myślał prawie nad tem, jak i gdzie jej szukać.

Teraz, gdy rzeki i góry leżały już po za nim, wyrosły nagle, tu, na jej obiecanej ziemi przeszkody inne, o wiele gorsze i niebezpieczniejsze, bo nie nogami trzeba je było zwyciężyć i przejść.

Już pierwszej nocy spędzonej na rodzonej ziemi, wybuchł w nim olbrzymi pożar z małej iskierki, dokładnie dotychczas schowanej i gaszonej pod górą oddalenia. Oto — powstała w nim świadomość, że Marja... może do innego już należy. Że on ją kochał i wiedział o niej wiele, ale że ona nie znała go nawet z opowiadań Anny. Ta myśl coraz przemożniej obejmowała go, coraz silniej i goręcej rozpalała się w nim, grożąc spaleniem tyluletnich tęsknot i bo ykań.

Jak oszalały więc popędził w strony, w których jeśli nie ją, to wiadomości o niej spodziewał się zebrać.

A stronami temi była jego wieś rodzinna, gdzie większość jego życia nagromadziła się w jego fatum, gdzie los ciągnął go nieprzemożenie, każąc mu raz po raz łamać się z sobą i walczyć z własnem przeznaczeniem.

W kilku dniach, serce Daniela, po brzegi wezbrało rozmaitemi uczuciami, i gromadzonemi podświadomie nieraz, przez lata całe.

Tęsknota do ojcowizny, tragiczne fatum młodości, wyrosła do potęgi i właśnie do tego cichutkiego dworku wciąż odsyłana mi ość, a przytem wszystkiem zawsze ta chęć poracnunku ze złą gwiazdą, ochota przekonania się, czy istotnie jest już w tej wolnej ziemi inaczej, czy istotnie, co złe skruszyło się, lub uciekło poza granice kraju, oto fale myśli i uczuć, które gnały Daniela w te jego rodzinne, tak ukochane, a tak nieszczęśliwe dla niej strony.

I oto ostatnie zdania tej opowieści.

Przybył Daniel w swoje strony i dowiedział się szybko, o bardzo szybko dowiedział się o ich teraźniejszych dziejach.

Oto Marja istotnie przebywa w jego rodzinnym domu, któ ego panem jest Wilhelm Szporn.

I prawie nic nie jest inaczej w tej jego nowonarodzonej, wolnej puszczy.

Oto w maleńkich, przylepionych do rzeki i wyrosłych w lesie wioskach, zahukanych wojną, panuje niepodzielnie on, jak za dawnych wrogich czasów mistrz życia, — a jako zło żyje i pokutuje w ciemnych kątach kościeln go cmentarza, ten d ugi on, zdziczały w ludzkiej pamięci i przeklęty Daniel.

Marja jest żoną Wilhelma Szporna, a dziki Daniel legendarnym zwierzem, upiorem wiecznie ściganym i wiecznie ukazującym się w zimie przy ludzkich ogniskach.

(Oczy pani trzepały powiekami, a piersi coraz szybciej oddychały).

(Ciąg dalszy nastąpi).

Ze świata złudy.



Marja Czernekówna urocza prim donna operetki „Nowości“ jako „Madame Pompadour“.

(5-lecie istnienia »Bagateli«: »Gdy kurtyna zapadnie« St. Turskiego. — Operetka »Nowości«: »Pajacyk«, operetka w 3 aktach R. Stolza. — Teatr im. Słowackiego: »Romans zeszytowy« (Kolportage), sztuka J. Kaisera).

Podczas gdy dawniej trzeba było czekać najmniej lat 25, dziś wystarczy już 5 lat, aby mieć »prawny« tytuł do jubileuszowania, zjazdów koleżeńskich lub... święcenia pięciolecia istnienia teatru. Żyjemy naogół krócej, zatem... pośpiech wskazany.

Nieszczególny sposób uczczenia 5-letniej artystycznej działalności Bagateli obmyśliła dyrekcja tego teatru wystawiając »okolicznościową« sztukę autora »Krowoderskich Zuchów« St. Turskiego p. t. »*Gdy kurtyna zapadnie*«.

Ta niewybredna w pomysłach i w dowcipach »comedia del'arte« z życia zakulisowego szmiry i teatru stołecznego, jest raczej zlepkiem 4 naogół scenicznie dobrze »zrobionych« obrazków, które »ideowo« łączy ze sobą tajemnica »ojcostwa« jedynego dziecka, mającego aż ojców trzech, jako iż... pater sempe incertus. Grano ją bez wyjątku dobrze, a autor, prócz oklasków, dostał także pokaźnych rozmiarów kosz szampana (n. b. Pallugyaya)

* * *

Na niewiele przyda się — usprawiedliwiona poza tem — kampanja, jaką podjął znany poeta *Juljan Tuwim* przeciwko »współczesnej« operetce tej — według jego określenia — nędzy idjotycznego szablonu, mdłej ckliwości, taniego wyuzdania i »posępnych« dowcipów, tej czarnej nudzie odwiecznych »sytuacyj« i banalnie smutnych »efektów« — (Wiadom. liter. Nr. 43) — na nic się nie przyda — powtarzam — bo »publiczność« i tak chętniej, zawsze niż na dramat, pospieszy na najnowsze »szlagiery«, pośród których jak »ślepej kurce ziarnko« trafią się takie niekiedy »Bajadery«, »Frasquity« lub »Czardaszki«, ratujące poniekąd »honor« dawnej operetki.



P. Wawrzkowicz sympatyczny, utalentowany tenor Operetki „Nowości“ w „Pajacyku“ R. Stolza.



Henryka Kramerówna przemiła śpiewaczka operetki „Nowości“ występująca z wielkim powodzeniem w „Pajacyku“ R. Stolza.

Ostatnia premiera »Nowości« »*Pajacyk*« *R. Stolza* nie może wprawdzie równać się pod względem wartości muzycznej i libretta z inną operetką tegoż autora p. t. »Za dawnych dobrych czasów« — ale nie brak jej naogół melodyjnych, łatwych do przyswojenia »numerów« — a przytem i fabuła dość komiczna, a choć nie nowa (przypominająca »Lalkę« Androna) daje dość sposobności »wszystkim« do »wygrania się«. Sympatycznym i dźwięcznie śpiewającym »Pajacykiem« Faublasim był p. *Wawrzkowicz*, zdobywający sobie coraz większe uznanie (młody, nadobny tenor), a »niezrozumianą« przez męża starego niedołęgę (Berski) markizą *Lissy Believrie* była pani *Henryka Kramerówna*, która każdą swą kreację (»Dziewczę z Holandji«, »Mi« w »Żółtym kaftanie«) wyposaża w tyle wrodzonego sobie wdzięku i finezji, tak uroczo wygląda, a przytem — rzecz główna — tak mile śpiewa, że stała się już oblubienicą nieskorej do entuzjazmu publiczności krakowskiej.

Niezawodną zawsze i idealnie zgraną parę stanowili p. *Sempoliński* (strażak, — z powodu choroby zastępowany w dalszych przedstawieniach prze p. *Ciesielskiego)* i pani *Kozłowska* (subretka).

Dekoracje b. efektowne (zwłaszcza w III akcie) i staranna inscenizacja świadczą, jak najpochlebniej o rzetelnej pracy reżyserskiej p. dyr. Pilarskiego. — Dyrygował b. sprawnie p. Miszczak.

* * *

»*Romans zeszytowy*« (Kolportage) *Jerzego Kaisera,* wybitnego ekspresjonisty niem. i autora granego również w *Teatrze im. J. Słowackiego* »Gazu«, można uważać — przynajmniej co do formy — za pewnego rodzaju »ustępstwo« na rzecz obowiązującego jeszcze konwencjonału teatral. — chociaż z drugiej strony sam pomysł oparcia się na fabule sensacyjnego romansu zeszytowego i sposób w jaki autor wprowadza i traktuje te konwencjonalne postacie »bohaterów« jest nawskróś oryginalny i nowy.

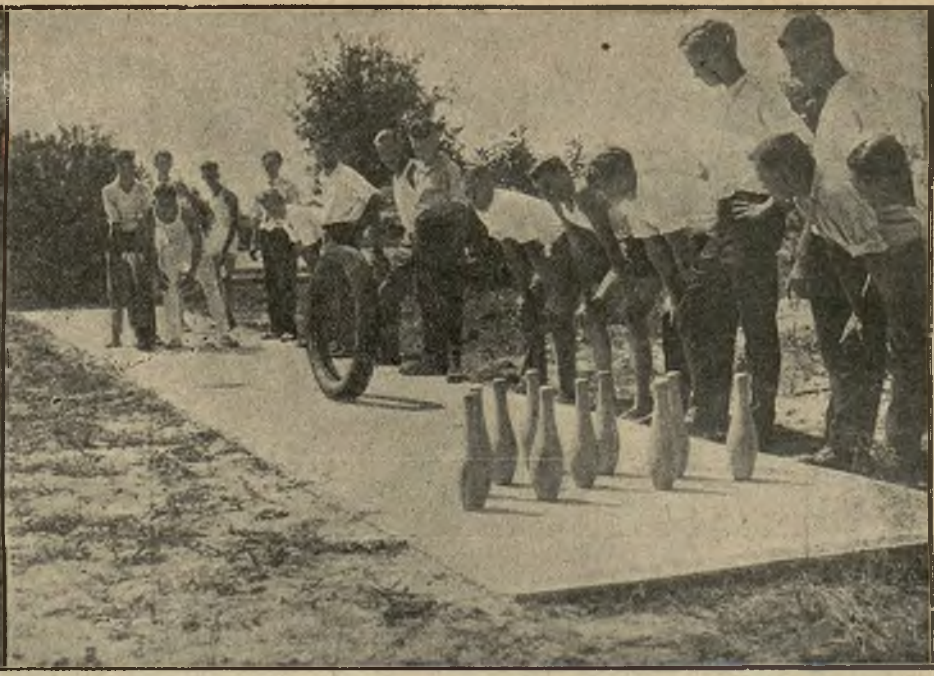
Jest to rodzaj coraz modniejszej »groteski« — ideowo wyżej stojącej od »groteski« Chiarellego — która jest przytem pełną finezji satyrą na zbutwiałą »czystej krwi« arystokrację rodową. Grano ją w Teatrze im. J. Słowackiego... niemal koncertowo. Wszyscy, a zwłaszcza pani *Klońska-Sanerowa* (ulicznica), p. *Kosmowska, Kopczewska* a z panów p. *Szymański, Knobelsdorf, Jednowski, Socha* stworzyli niezwykle interesujące typy o lekkiem zacięciu groteskowym — ustrzegłszy się od łatwej w takim wypadku — szarży.



„Quo vadis“ w filmie. Nowy ten film z wielkim Jannigsem w roli Nerona wyprodukował z wielkim przepychem przemysł filmowy niemiecki. Film ten miał być wystawiony w Polsce podczas uroczystości sienkiewiczowskich. Na skutek protestu rodziny wielkiego pisarza, bez porozumienia się z którą film ten zainscenizowano, okradając ją z prawa własności — odwołano wystawienie filmu.



Oryginalny balet. Na Zachodzie weszła w modę nowa gra towarzyska pod nazwą Mah-Yong, (przypominająca trochę domino). We Francji w jednym z hoteli produkuje się balet, którego tancerki poprzebierane są za figury Mah Yongu.



Nowy sport w Ameryce. Jest to zmieniona trochę gra w kręgle. Zamiast kulą ciska się w kręgle, których liczbę podniesiono do dziesięciu — gumowem kołem. United Newspictures.

Pani *Lenc* w roli »lektorki« ujawniła wybitny talent »charakterystyczny«, dobrze zapowiada się nowozaangażowa panna *Solecka*. Na szczególne uznanie zasługują »groteskowe« dekoracje (w II. akcie) p. *Krassowskiego*. Bardzo udatnego tłumaczenia tej groteski dokonał p. Dr. *Świątek*.

* * *

»Szlachetna emulacja« — czy też może tylko względem... konkurencyjne sprawiły, że w ubiegłym tygodniu wyświetlano szereg pierwszorzędnych filmów w krak. kinoteatrach.

I tak w »*Uciesze*« odnowiliśmy nową znajomość z cudownem dzieckiem a obecnie... osławionym już »globtretterem« *Jackie Cooganem*, który w najnowszym swym filmie (świetnie wyreżyserowanym) »*Niech żyje król*«! — gra królewicza z nazbyt wielką już... jak na swój wiek »rutyną«.

W »*Nowościach*« przypomniała się nam znana z przed wojny jeszcze, obecnie nieco przybladła »gwiazda« *Fern Andra* w filmie »*Zala mort*«, a obecnie śmieszny do łez bajeczny i wytworny komik franc. *Maksiu Linder* w nowym obrazie »Błazen z miłości«.

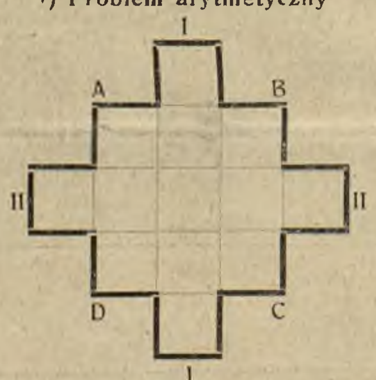
W »*Warszawie*« wzruszają nas również »do łez« »melodramatyczne« dzieje »Dziewczęcia z karuzeli«, którą kreuje młodziutka (17 letnia) *Mary Philbin*. A prawie »autentyczne« zdjęcia z Prateru i z »Burgu« — jak i świetna resyżerja, ściągają tłumy publiczności. • *T. Bil.*

Dział rozrywkowy.

Redakcja: A. Weldig.

Zagadki do nagrody.

1) Problem arytmetyczny



Cyfry od 1 13 w ten sposób rozmieścić w wolnych kwadratach by suma cyfr w kwadracie A B C D w kierunku pionowym i poziomym równała się 7 zaś suma cyfr I i II dała po 32.

2) Łamigłówka.

ul. Cz. Kozłowski, Warszawa.

Z podanych wyrazów wyjąć po zgłosce, aby powstało znane przysłowie

Zaporoże – Zakopane – Wernyhora
poniedziałek biologja – Saragossa
zaprzedanie – Moabici – bajadera

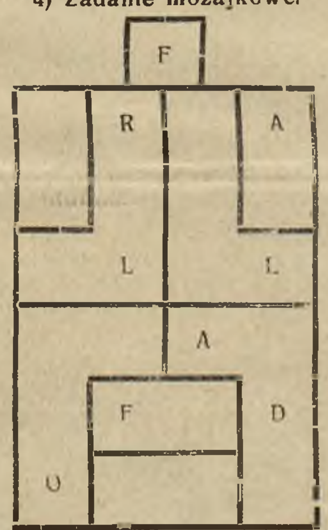
3) Okienko.

ul. Cz. Kozłowski, Warszawa.

Z podanych liter utworzyć trzy wyrazy jednobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym

	A		A		A		
A	A	A	A	A	C	C	Pomost teatralny
	D		D		D		
E	E	J	K	K	N	N	Imię męzkie
	R		R		S		
S	T	T	T	T	Y	Y	Dodanie
	Y		Y		D		

4) Zadanie mozajkowe.



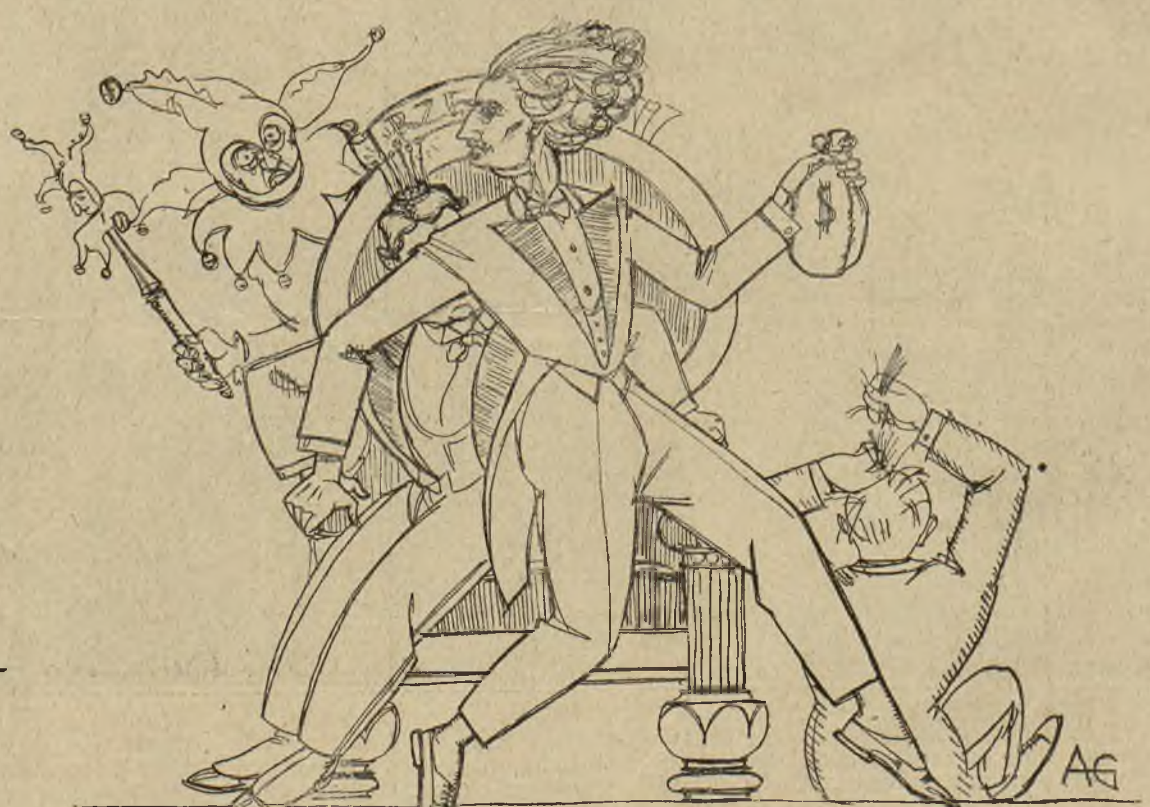
Dziewięć części figury złożyć w kwadrat, tak, by w przekątni odczytać imię żeńskie i męskie.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa z dniem 10/X br.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcja do rozlosowania jako premię najnowsze książki beletrystyczne.



Lotnik: No dobrze, dobrze — ale comy za to kupimy. Gdyby ten wszystek papier sprzedać na wagę, toby jeszcze litra benzyny nie było..."



Popularna w pokoju dziecinnem „zabawa w przesiadanego" została od niedawna nazwana „zabawą w Rzeczpospolitą".

CHESTERTON.

MŁOT BOŻY

NOWELA.

1) Tłom. Zet.

Mała wioska Bohuna Beacona gnieździła się na pagórku tak stromym, że wysoka wieżyca jej kościoła wyglądała jak szczyt wzgórza. U stóp kościoła stała kuźnia, czerwona od ognia i zawsze zawalona narzędziami i odpadkami żelaza; naprzeciw, na rozstaju wybrukowanych uliczek gnieździł się „Niebieski Dzik“, jedyna oberża w tej miejscowości. W tem to miejscu o srebrzystym brzasku dnia dwaj bracia spotkali się na drodze i właśnie jeden z nich zaczynał drugi kończył dzień. Wielebny Wilfred Bohun był bardzo pobożny i udawał się na jakieś surowe ćwiczenia duchowne czy też na rozmyślanie o wschodzie słońca. Pułkownik Norman Bohun, jego starszy brat, nie był bynajmniej pobożnym, a siedział na ławce przed „Niebieskim Dzikiem“ wypróżniając szklankę, którą filozoficznie usposobiony obserwator mógł uważać dowolnie za ostatnią wtorkową lub pierwszą na środę. Pułkownik nie był drobiazgowym.

Bohunowie byli jedną z niewielu rodzin arystokratycznych, pochodzących istotnie z średniowiecza, kiedy to proporzec rodzinny oglądał Palestynę. Lecz błędem wielkim jest przypuszczać, że takie rody wysoko stawiają rycerską tradycję. Niewielu poza ubogimi zachowuje tradycje. Arystokracja nie czci tradycji lecz modę. Bohunowie byli Mohockami za królowej Anny a Masherami za królowej Wiktorji. A jak niejeden z rzeczywiście starożytnych rodów w ostatnich dwu wiekach wyrodzili się w pijaków i dandysów, aż nawet zjawiło się w ich rodzie widmo obłąkania. Z pewnością mało ludzkich rysów było w wilczej pogoni pułkownika za rozkoszami, a jego stary zwyczaj niewracania do domu przed świtem był piętnem chorobliwej bezsenności. Było to wyniosłe, pięknie zbudowane zwierzę; podstarzały, ale włos miał zdumiewająco płowy. Wyglądałby cały żółtawy, jak lew, tylko niebieskie oczy osiadły tak głęboko, że wydawały się czarne. Były nieco zbyt zbliżone do siebie. Miał długie płowe wąsy, a po każdej ich stronie zmarszczkę czy bruzdę — od nosa do szczęki, tak, że zdawało się, iż szyderski uśmiech rozcina mu twarz. Na rzeczonem ubraniu nosił ciekawy kremowy surdut, który więcej wyglądał na lekki szlafrok niż na zarzutkę, w tyle głowy miał osadzony dziwaczny szeroki kapelusz jasno zielonej barwy, widać jakaś wschodnia osobliwość nabyta na chybił trafił. Z tak niezgadzającego się stroju był dumny, dumny mianowicie, że zawsze umiał go pogodzić.

Brat jego wikary miał także płowy włos i elegancki wygląd, ale był opięty aż po brodę w czarny strój, a twarz jego była starannie ogolona, wypielęgnowana i nieco nerwowa. Zdawało się, że żyje wyłącznie dla swej religji, lecz byli tacy, którzy mówili (a zwłaszcza kowal, który był presbiterjaninem), że była to raczej miłość gotyckiej architektury niż Boga i że jego wędrówki po kościele, jakby ducha, były tylko inną i czystszą formą tego głodu piękna, który sprawiał, że jego brat szalał za kobietami i winem. Zarzut ten był wątpliwy, natomiast w praktyce jego pobożność nie ulegała wątpliwości. Rzeczywiście zarzut polegał przedewszystkiem na ignorancji i niezrozumieniu zamiłowania do samotności i skrytych modlitw, a opierał się na tem, że często znajdowano go klęczącego nie przed ołtarzem, ale w szczególnych miejscach, w jakiejś krypcie czy krużganku lub nawet w dzwonnicy. W tej chwili chciał on wejść do kościoła przez podwórze kuźni, ale zatrzymał się i zmarszczył nieco, — zobaczywszy zapadłe oczy brata, zwrócone w tym samym kierunku. Na przypuszczenie, że pułkownik interesował się kościołem nie tracił on na próżno domysłów. Zostawała tedy zagroda kowala, a choć nie był purytaninem i nie należał do jego owieczek, Wilfred Bohun słyszał pewne plotki o jego pięknej i dość głośnej żonie. Rzucił podejrzliwie spojrzenie na szopę, a pułkownik powstał z uśmiechem. —

— Dzień dobry, Wilfredzie. Jako dobry pan czuwam bezsennie nad mym ludem. Teraz zamierzam odwiedzić kowala. —

Wilfred spojrzał w ziemię.

— Kowala niema. Jest w Greenford. —

— Wiem — odpowiedział tamtem, z cichym uśmiechem — właśnie dlatego go odwiedzę. —

— Normanie — rzekł ksiądz, z okiem utkwionem w kamyk na drodze — czy nigdy nie boisz się piorunów? —

— Co to znaczy — zapytał pułkownik — czy rozmiwałeś się w meteorologji?

— To znaczy — rzekł Wilfred, nie patrząc na niego — czy nigdy nie myślisz że Bóg na równej drodze może cię pozbawić życia?

— Ach, przepraszam widzę, że masz zamiłowanie do baśni ludowych.

— Wiem, że ty masz zamiłowanie do bluźnierstwa — odparł duchowny, ugodzony w najwrażliwszą strunę swej natury, — ale jeśli nie boisz się Boga, to masz poważny powód bać się człowieka. —

Starszy uprzejmie podniósł brwi. — Obawiać się człowieka? —

— Kowal Barnes jest największym i najsilniejszym mężczyzną na czterdzieści mil wokoło. Wiem, że nie jesteś słabym ani tchórzem, on jednak mógłby cię przerzucić przez ten mur. —

Ten pocisk trafił, bo było to prawdą i złowroga linja od ust do nosa pociemniała i pogłębiła się. Przez chwilę stał z szyderskim grymasem na twarzy. Wkrótce jednak pułkownik Bohun odzyskał swój okrutny dobry humor i zaśmiał się ukazując dwa kły jak u psa pod swym płowym wąsem.

— W takim razie drogi Wilfredzie — rzekł całkiem nieuważnie — mądrze postąpił ostatni z Bohunów, że przyszedł częściowo opancerzony.



Rys. A. Ciompa

— Normanie — rzekł ksiądz z okiem utkwionem w ziemię — czy nigdy nie boisz się piorunów?...

I zdjął swój okrągły kapelusz obity zielonem suknem, pokazując, że wewnątrz był wyłożony stalą. Wilfred poznał w tem lekki japoński czy chiński hełm, zerwany z trofeum, które wisiało w starym rodzinnym hallu.

— Był to pierwszy kapelusz pod ręką, wyjaśnił brat — biorę zawsze pierwszy z brzegu kapelusz i pierwszą z brzegu kobietę.

— Kowal jest w Greenford — powiedział Wilfred spokojnie — czas jego powrotu nieoznaczony.

Z temi słowami obrócił się i wszedł do kościoła z pochyloną głową, żegnając się, jak ktoś, co chce się pozbyć nieczystego ducha. Pragnął zapomnieć o prostactwie w chłodnym półmroku swego gotyckiego klasztoru; lecz tego ranka było przeznaczone, żeby jego kolej religijnych ćwiczeń przerywały wszędzie małe wzruszenia. Gdy wszedł do kościoła, pustego zawsze o tej godzinie, jakaś klęcząca postać szybko powstała i wyszła do oświeconych drzwi. Wikary, ujrzawszy ja, przystanął ze zdziwienia. Ten wczesny pobożny, był to nikt inny jak wiejski idjota, siostrzeniec kowala, który nigdy nie mógł troszczyć się ani o kościół ani o nic innego. Nazywano go zawsze „szalony Joe“ i zdawało się, że niema innego imienia. — Był to czarny, wilczy, ciężki młodzik, z ociężałą bladą twarzą, ciemnym prostym włosem i zawsze otwartemi ustami. Gdy mijał księdza, jego głupkowata fizjognomja nie pozwalała odgadnąć co robił i o czem myślał. Nigdy przedtem nie widziano, aby się modlił. Co za modlitwy teraz odmawiał? Nadzwyczajne jakieś z pewnością.

Wilfred Bohun stał długo jak przyrosły do ziemi patrząc jak idjota wyszedł na słońce i jak jego brat zaczepiał go z poufałą rubasznością. Ostatniem co widział było, jak pułkownik rzucał grosze, starając sią trafić w otwarte usta Joe'go.

Ten brzydki obraz głupoty i okrucieństwa zwrócił wreszcie ascetę do jego modlitw po oczyszczenie i nowe myśli. Wszedł do zamkniętej ławki w krużganku, pod barwnem oknem, które lubił i które zawsze uspakajało jego duszę: modre okno z aniołem niosącym lilje. Tam począł mniej myśleć o półgłówkach i rybich oczach i sinej twarzy. Począł mniej myśleć o swym złym bracie, krążącym jak strasznie wygłodniały lew. Pogrążał się coraz głębiej w te chłodne i słodkie barwy srebrnego kwiecia i szafirowego nieba.

W tem miejscu pół godziny później znalazł go Gibbs, wiejski łatacz, którego posłano z ja kimś pośpiechem. Ksiądz powstał szybko, wierząc, że byle jaka rzecz nie sprowadzałaby Gibbsa w takie miejsce. Łatacz, jak to często bywa, był ateistą, a jego zjawienie się w kościele było czemś jeszcze niezwyklejszem niż modły Joe'go. Był to poranek teologicznych zagadek.

— Co się stało? — zapytał Wilfred Bohun dość sztywno, ale sięgając drżącą ręką po kapelusz.

Ateista mówił tonem, w którym jak na niego brzmiał niezwykły szacunek a nawet jak gdyby pewna szorstka sympatja

— Przepraszam, sir, — rzekł ochrypłym szeptem — ale myśleliśmy, że należy dać ci znać natychmiast. — Obawiam się, że zaszło dość poważne zdarzenie. Obawiam się, sir, że twój brat...

Wilfred zacisnął swe drobne ręce.

— Co za łotrowstwo popełnił znów — zawołał z mimowolnem uniesieniem.

— Ach, sir, — rzekł Gibbs, odkaszlując — obawiam się, nie popełnił niczego i nie popełni już nigdy. Boję się, że już... koniec z nim. Ale lepiej byś zeszedł na dół, sir.

Wikary zstępował za łataczem po krótkich, krętych schodach, które sprowadziły ich do wejścia nieco wyższego niż ulica. Bohun jednym rzutem oka ujrzał tragedję jak na planie. W podwórzu kuźni stało pięciu lub sześciu mężczyzn przeważnie ubranych czarno, tylko jeden w mundurze inspektora. Był między nimi doktór, presbiterjański pastor i ksiądz z katolickiej kaplicy, do której należała żona kowala. Ten ostatni mówił do niej bardzo żywo półgłosem, podczas gdy ona, wspaniała kobieta o rudo złotych włosach łkała bez pamięci na ławce. Między temi dwiema grupami, tuż koło stosu narzędzi leżał człowiek w poszarpanem ubraniu, rozkrzyżowany, twarzą do ziemi. Z wysoka Wilfred mógł rozpoznać dokładnie każdy szczegół jego ubrania aż do pierścieni Bohunów na palcach; głowa tylko była jedną ohydną plamą ciemną i krwawą.

Wilfred Bohun raz tylko spojrzał i zbiegł po stopniach na podwórze. Doktór, lekarz rodzinny, pozdrowił go, on jednak zaledwie to zauważył. Zdołał tylko wyjąkać „Mój brat nie żyje! Co to znaczy? Cóż za okropna tajemnica?“ Zapanowało przykre milczenie. Wreszcie łatacz, najotwartszy z obecnych, odpowiedział: „Okropność to, sir, ale tajemnicy w tem mało“,

Co to znaczy — zapytał Wilfred z bladą twarzą.

— To dość jasne — odparł Gibbs. — Jest tylko jeden człowiek na czterdzieści mil wokoło, który mógłby zadać cios jak ten i... który miałby największy powodów do tego.

— Nie możemy przesądzać niczego — rzekł dość nerwowo doktór, wysoki o czarnej brodzie — do mojej kompetencji jednak należy potwierdzić, co mówi Mr Gibbs o naturze ciosu, sir jest to nie do uwierzenia — Mr. Gibbs mówi, że tylko jeden człowiek w tym powiecie mógł go zadać, ja twierdzę, że nie mógł go zadać nikt wogóle.

Dreszcz zabobonny przeniknął drobną postać wikarego.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Prenumerata w Polsce: miesięczna 2 zł. 75 gr., kwartalna 7 zł. 50 gr., półroczna 15 zł. —, roczna 28 zł. —. Numer pojedyńczy 75 gr.
W Ameryce: półroczna 6 dolarów, roczna 12 dolarów.
Naczelny redaktor przyjmuje codziennie od godziny 10 do 12 przedpołudniem.
Rękopisy i fotografje redakcja zwraca tylko na żądanie.

Wychodzi każdej soboty.
Redakcja i Administracja: Kraków, ul. Kazimierza Wielkiego L. 95.
Telefon Nr. 479.
Konto P. K. O. Warszawa Nr. 140.260. Konto P. K. O. Kraków Nr. 400.519.
Konto w Banku Związku Spółek Zarobkowych Oddział Kraków.

CENY OGŁOSZEŃ:
Przed tekstem (za tytułówką). Cała kolumna 500 Zł pół kolumny 250 Zł. 1/4 kolumny 140 Zł. 1/8 kolumny 75 Zł. — Wiersz milimetrowy jednoszpaltowy 75 groszy.

Część redakcyjna.

Cała kolumna opisowa redakcyjna	300	zł.
1/2 „	150	„
1/4 „	75	„
1/8 „	40	„
wiersz milimetrowy jednoszpaltowy	40	gr.

Za 1 cm. kliszy 12 groszy.

Część inseratowa.

Cała kolumna	200	zł.
1/2 „	100	„
1/4 „	55	„
1/8 „	30	„
wiersz milimetrowy jednoszpaltowy	15	gr.

Właściciel i wydawca: Czesław Lipiński. Odpowiedzialny redaktor Dr. Lipiński. Drukarnia i kliszarnia „Nowości Illustrowanych“ pod zarządem L. Gronusia (firma Friedlein)